PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 12 (1907) ● 16 VI 1991 ● CENA 2800 ZŁ

- B. SADOWSKA – WRÓG NUMER JEDEN CD. "SPRAWY G. PRZEMYKA"
- BUKINIŚCI – PIRACTWO KSIĄŻKOWE
- SATANIŚCI – PODKULTURY MŁODZIEŻOWE
- 17-LATEK SPALONY W CENTRUM SZCZECINA
- ŚWIĄTEK CZY PIĄTEK POZNAŃSKICH POLICJANTÓW
- "SCHNAPSGATE" PRZED FINAŁEM

12 1991

zdj. Paweł Sztachetko

Funkcjonariusze stołecznej Policji przesiadają się na motocykle zachodnich marek. Niedawno na drogi wyjechały dwa BMW, ufundowane przez poznańską firmę „Smorawiński i ska".

CZWARTY RAZ

WIELKI POCZĄTEK

Mimo że był to pierwszy dzień czerwca i do rozpoczęcia kalendarzowego lata pozostawało jeszcze kilkanaście dni, Koszalin przywitał papieża Jana Pawła II chłodną i dżdżystą pogodą. Niski pułap chmur i zamglenia sprawiły, że co poniektórzy zaczęli się nawet zastanawiać, czy nie zaistnieje groźba awaryjnego lądowania papieskiego samolotu na odległej o kilkadziesiąt kilometrów duńskiej wyspie Bornholm. Na szczęście wszystko zakończyło się dobrze i punktualnie o 10.50 samolot włoskich linii lotniczych z Janem Pawłem II na pokładzie dotknął pasów wojskowego lotniska w Zegrzu Pomorskim, odległym o ponad 20 kilometrów od Koszalina, kilka minut później zaś papież — jak podczas każdej wizyty — ucałował ziemię, na której rozpoczynał pielgrzymkę.

Czwarta wizyta na ojczystej ziemi rozpoczęła się. Rozpoczął się także ostatni, finalny etap działań olbrzymiej operacji nazywanej kryptonimem „Perła". Tym właśnie hasłem od października ubiegłego roku opatrzone były wszystkie teoretyczne działania resortu spraw wewnętrznych i podległych mu służb związane z zabezpieczeniem porządku i bezpieczeństwa podczas papieskiej pielgrzymki. Godziny przedpołudniowe 1 czerwca były początkiem ich sprawdzenia w praktycznym działaniu.

Dla Koszalina, podobnie jak dla wszystkich miast, w których przebywał podczas ostatniej czerwcowej pielgrzymki papież, oznaczało to olbrzymią mobilizację wszystkich dostępnych sił i środków. Jasne było od samego początku, że nie sposób liczyć tylko na własne możliwości, stąd też pomoc sąsiednich województw.

Dla kilku tysięcy funkcjonariuszy Policji, którzy czuwali nad spokojnym przebiegiem wizyty Jana Pawła II na Pomorzu Środkowym, papieska pielgrzymka rozpoczęła się kilkadziesiąt godzin wcześniej. Już od samego rana w czwartek — 30 maja — m.in. z województw: szczecińskiego, bydgoskiego, gorzowskiego, pilskiego i słupskiego ciągnęły tutaj kolumny złożone z kilkudziesięciu, a nawet nieraz ponad 100 pojazdów, dla wspomożenia koszalinian. Nazajutrz upływał termin objęcia ochroną wszystkich niemalże obiektów, w których miał przebywać papież. Trzeba było również przygotować się do objęcia służby na trasie przejazdu papieskiej kolumny. A przecież jeszcze wcześniej trzeba było zakwaterować się na miejscach postoju i przede wszystkim wypocząć przed objęciem służby po rzeczywiście męczącej — szczególnie dla kierowców — podróży. Wystarczy powiedzieć, że poznańskim policjantom pokonanie niedużego, bo zaledwie 150-kilometrowego odcinka, zajęło ponad sześć godzin. Tłok na drogach, takie a nie inne możliwości techniczne przejazdu rozciągniętej na ponad kilometrowej długości kolumny tylko miejscami pozwalały na rozwinięcie większej prędkości. Nie bez znaczenia był stan techniczny wozów. Pierwsze zawróciły do bazy już po przejechaniu kilkunastu kilometrów. Kilka innych odmówiło posłuszeństwa na trasie. Taki jest ich stan techniczny i trudno wymagać, by nawet przy okazji wizyty papieża mógł się stać jakiś cud.

Do Koszalina przyjechało w sumie osiem tysięcy policjantów w 12 związkach taktycznych, pełniących na co dzień służbę przede wszystkim w oddziałach prewencji. Spora część spośród nich dopiero przed kilkoma miesiącami rozpoczęła pracę w policyjnych szeregach, odrabiając w ten sposób zasadniczą służbę wojskową. Młodzi, bez doświadczeń i po przyspieszonym cyklu szkolenia przygotowawczego, rzuceni zostali od razu na głębokie wody do wykonywania odpowiedzialnych zadań. Niemałą grupę stanowili chłopcy, którzy mieli za sobą dopiero 1—2 samodzielne służby w mieście. Od czegóż jednak doświadczenie ich dowódców — funkcjonariuszy o kilkunastoletnim już stażu, dla których operacja „Perła" była po prostu normalnym, niemal rutynowym działaniem. Wraz z policjantami przyjechało ogółem 1100 pojazdów policyjnych oraz 35 tresowanych psów ze szkoły w Sułkowicach.

Głównym problemem dla koszalińskiego kwatermistrzostwa było zakwaterowanie tak olbrzymiej rzeszy ludzi. Zamieszkali oni w kilku ośrodkach wczasowych w Unieściu, Łazach i Sarbinowie, trzech tutejszych szkołach podstawowych, skorzystano także z gościnności koszar Bałtyckiego Oddziału Straży Granicznej stacjonującego w Koszalinie.

W nocy z piątku na sobotę do pracy przystąpili specjaliści z oddziałów pirotechnicznych oraz fachowcy z Biura Ochrony Rządu. Przez kilka nocnych godzin skrupulatnie sprawdzali w świetle latarek studzienki ściekowe, włazy, instalacje wodno-kanalizacyjne wszędzie tam, gdzie przejeżdżał bądź też przebywać miał papież w ciągu najbliższych godzin. Skrupulatnie, metr po metrze przeszukiwali te wszystkie miejsca, gdzie mogło się kryć potencjalne niebezpieczeństwo. Kiedy rejon został już zbadany, wstęp możliwy był tylko za zaproszeniami. Nawet karetki pogotowia czy wozy straży pożarnej jadące na wezwanie musiały być zaopatrzone w stosowne dokumenty uprawniające do wjazdu. Bez tego ani rusz! Tak surowe ograniczenia i środki bezpieczeństwa mogą wydawać się co najmniej dziwne w kraju, do którego z pielgrzymką przybywał papież — Polak, ale takie właśnie są wymogi bezpieczeństwa wszędzie tam, gdzie pielgrzymuje Jan Paweł II.

Sztab operacji „Perła" mieścił się w Koszalinie w gmachu Komendy Wojewódzkiej Policji. W sobotę przez cały dzień pełnił tu dyżur podinspektor Maciej Szajna. I choć spoczywała na nim odpowiedzialność za wszystkie podejmowane na gorąco decyzje (a musiał to robić kilkanaście razy w ciągu jednej godziny), nie pozostawał jednak osamotniony w działaniu. Cały czas wspierał go podinspektor Zdzisław Kamedula — szef sztabu wojewódzkiego „Perły" (na co dzień zastępca komendanta wojewódzkiego Policji), naczelnicy wydziałów, co nie zmienia jednak faktu, że ostateczne decyzje, a w konsekwencji i odpowiedzialność spadała na jego barki.

Najtrudniejszym i najbardziej pracochłonnym działaniem było zabezpieczenie popołudniowej mszy świętej, którą papież odprawiał na placu przy kościele parafialnym pod wezwaniem Ducha Świętego. Nosiły one kryptonim „Celebra", a [illegible]fostwo zabezpieczenia tego punktu mieściło się w suszarni na XI piętrze jednego z okolicznych wieżowców. Za „Celebrę" odpowiadał komisarz Zbigniew Buśkiewicz, który w sobotnie popołudnie powoli zaczynał tracić już poczucie czasu. I nie ma się czemu dziwić, bo już czwartą dobę był non stop na nogach nie licząc 2—3-godzinnych drzemek na łóżku polowym.

Był to rzeczywiście idealny punkt na stanowisko dowodzenia. Z okien roztaczał się widok na cały plac i drogi dojazdowe do miejsca celebry, co było niezbędne do właściwego kierowania rzeszami wiernych po zakończonym nabożeństwie. I choć tu wszystko było od dawna zapięte na ostatni guzik, mogły zdarzyć się sytuacje, których nie sposób było wcześniej przewidzieć. Kiedy po zakończonej mszy Jan Paweł II udał się do zakrystii kościoła, by odpocząć po zakończonym przed chwilą nabożeństwie, żegnały go oklaski i chóralne „sto lat". Ale w tym samym momencie niemal kilka tysięcy osób zaczęło wręcz napierać w kierunku głównego ołtarza, chcąc z bliska obejrzeć miejsce celebry, zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie na miejscu, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami stał papież. I kto wie, czym zakończyłby się ten nagły, nie kierowany przez nikogo ruch ku wyjściu, gdyby nie podjęte natychmiast przez sztab „Celebry" decyzje.

Pełniący tu służbę policjanci mieli bodaj najlepszy widok na cały plan nabożeństwa i dlatego byli zaskoczeni, kiedy jeszcze tego samego dnia w telewizji usłyszeli, jakoby w nabożeństwie uczestniczyło blisko 300 tysięcy osób. Tymczasowa maksymalna pojemność wszystkich sektorów [illegible]czona była na 260 tys. ludzi, a tłoku raczej nie było...

Jak minął pierwszy dzień wizyty Jana Pawła II w Koszalinie? Zdaniem podinspektora Szajny jak na taki ruch i na taką liczbę ludzi było bardzo spokojnie. „Zresztą spodziewaliśmy się — mówi — jeszcze więcej przyjezdnych. Zanotowano jedynie jeden wypadek drogowy. 65-letnia kobieta przebiegając przez zamknięty już odcinek drogi została potrącona przez kierowcę jadącego właśnie pojazdu BOR. Było kilka fałszywych alarmów o podłożonych bombach, któryś policjant zasłabł podczas nabożeństwa. Dzięki wcześniejszym apelom o nienoszenie w tłoku większych sum pieniędzy i dokładne zamknięcie mieszkania przed udaniem się na nabożeństwa, sobota była też „straconym dniem" dla kieszonkowców i włamywaczy.

— Dla nas był to dzień normalnej harówy — podsumowuje w sobotni wieczór ostatnie kilkanaście godzin zastępca komendanta wojewódzkiego Policji w Koszalinie podinsp. Kamedula. — O rozpoczętej dziś pielgrzymce mówi się, że jest zupełnie inna od pozostałych. Czy dla nas również? Cóż, kiedy każe się nam więcej pracować, a w tym samym czasie odbiera się policyjne „przywileje", to nie wszyscy mogą być zadowoleni.

KRZYSZTOF KILIJANEK
zdj. CAF

CZUWANIE PRZY TELEFONIE

30 maja br. o godz. 6.00 w pełnej gotowości był sprzęt, ludzie przygotowani byli od dawna. Z tą chwilą Techniczny Ośrodek Kierowania w Komendzie Głównej Policji rozpoczął swoją działalność, wkrótce rozdzwoniły się telefony. W ruch poszły dalekopisy, telefax. Na mapach sztabowych, podświetlonej planszy postawiono pierwsze znaki określające ruch związków taktycznych skierowanych do zabezpieczenia pielgrzymki Jana Pawła II.

Wydaje się, że nie zapomniano o żadnym szczególe dotyczącym utrzymania porządku w czasie wizyty papieża.

— Od tej chwili czas dla 20-osobowego sztabu liczy się podwójnie — oznajmia naczelnik wydziału w Biurze Prewencji KGP podinsp. Włodzimierz Maciejewski, któremu przypadła rola rzecznika prasowego, — wskazując na zegary wiszące nad drzwiami wyjściowymi. — Jeden bowiem wskazuje aktualną godzinę, drugi odmierza czas trwania operacji „Perła I". Proszę napisać, że choć przekroczyliśmy już półmetek, a wyznaczeni oficerowie pełnią służbę na okrągło, nikt nie narzeka na zmęczenie, bezawaryjnie pracują zainstalowane urządzenia.

Dowiaduję się, że w ośrodku kierowania panuje dobra atmosfera, mimo stresujących sytuacji pracuje się bez nerwów i pośpiechu, co jest w dużej mierze zasługą pełnomocnika komendanta głównego Policji ds. zabezpieczenia pielgrzymki papieża w naszym kraju, insp. Jerzego Stańczyka, na co dzień komendanta wojewódzkiego Policji w Szczecinie. Uczestniczył w zabezpieczeniu poprzedniego pobytu Jana Pawła II, teraz dzieli się swoimi doświadczeniami z młodszymi kolegami. Kierownikami zmian są naczelnicy podinsp. Lechosław Wieczorek i podinsp. Kazimierz Kwiatkowski.

Przebiegiem wizyty, zdarzeniami, pracą ośrodka żywo interesują się minister spraw wewnętrznych dr Henryk Majewski; szef sztabu papieskiego, wiceminister Jerzy Zimowski; kierownictwo KGP.

Nawet krótki pobyt w dwóch pomieszczeniach wypełnionych ludźmi i urządzeniami unaocznia ogrom prac związanych z ochroną trasy przejazdu papieża. Nic dziwnego, tu przecież zbiegają się wszelkie informacje związane z ochroną dostojnego gościa, meldunki o przegrupowaniu pododdziałów, związków taktycznych krzyżują się z sygnałami z wysuniętych stanowisk dowodzenia. Analiza napływającego materiału dowodzi, że, odpukać, wszystko przebiega zgodnie z przyjętym planem.

— Inaczej nie może być — stwierdza insp. J. Stańczyk. — Rozwój wypadków świadczy jednocześnie o rzetelnym przygotowaniu się poszczególnych województw, miast, komend Policji do tej trudnej operacji zabezpieczenia trasy przejazdu, skrupulatnym sprawdzeniu obiektów, w których przebywa papież, dobrej współpracy sił policyjnych z BOR, ze służbami kościelnymi, miejskimi. Zdyscyplinowaniu pielgrzymów, jak i stałych mieszkańców.

Zasadą się stało, że wszystkie ulice leżące na trasie przejazdu kolumny zamykane są dla ruchu kołowego co najmniej godzinę wcześniej, z jezdni i chodników z uwagi na porządek i bezpieczeństwo usunięte zostały pojazdy.

— Trasę, którą przemierza papież dwukrotnie wizytowaliśmy, a plany poszczególnych sztabów wojewódzkich zatwierdzał komendant główny Policji nadinsp. L. Lamparski — dodaje naczelnik podinsp. W. Maciejewski. — Zdarzało się, że w czasie drugiego pobytu w terenie wskazywaliśmy gospodarzom niedociągnięcia, np. w jednym z miast wojewódzkich metalowe barierki ustawiono odwrotnie. W licznych przedsięwzięciach nie zapomnieliśmy o osobach, które nawet z odległych stron wybrały się, aby powitać Ojca Świętego na trasie przejazdu czy uczestniczyć w nabożeństwie. Zaapelowaliśmy do nich o zachowanie ostrożności, bezwzględne podporządkowanie się poleceniom służb kierujących ruchem, wskazujących objazdy i parkingi.

— Siedząc przy biurkach zastawionych telefonami, patrząc na ekran telewizora, na którym mamy podgląd tego, co się dzieje w miejscach, w których przebywa papież, nie możemy bezpośrednio odczuwać podniosłej atmosfery, jaka towarzyszy pielgrzymce, ale z wielką przyjemnością mogę stwierdzić, że coraz częściej dochodzą do nas głosy o życzliwości, z jaką spotykają się funkcjonariusze Policji ze strony społeczeństwa w miejscu zakwaterowania, jak i w czasie przejazdu. Jest to dla nich największa nagroda za wielogodzinną służbę, rozłąkę z rodziną.

Przerywamy rozmowę, zewsząd napływają informacje. Dowiaduję się, że wszystkie połączenia są rejestrowane na taśmie magnetofonowej, a meldunki, polecenia, wpisywane odręcznie do specjalnego zeszytu. Aż się prosi o komputer, zapewne w czasie następnej wizyty Jana Pawła II w Polsce Techniczny Ośrodek Kierowania w KGP będzie sztabem z prawdziwego zdarzenia.

Jak na zawołanie ginie obraz na telewizyjnym ekranie — tym razem kłopoty ma TV. Ktoś sięga po słuchawkę i łączy się z Łomżą, skąd nadawana jest transmisja mszy świętej. Po zakończeniu rozmowy oznajmia: Awaria na łączach satelitarnych.

Wymownie spojrzeliśmy w górę. Pomogło.

Spiętrzenie rozmów wykorzystałem na zapoznanie się z meldunkami z trasy. Interesowały mnie te dotyczące Policji: W miejscowości Owczary (wrocławskie) w kolizji uczestniczyły 4 radiowozy „Nysa" ze stanu KWP Wałbrzych. Postępowanie prowadzi KRP Oława. W miejscu zakwaterowania Związku Taktycznego Koszalin doszło do zderzenia nysy z polonezem. Kierujący samochodem osobowym był w stanie nietrzeźwym.

Część funkcjonariuszy ZT XXI odmówiło zakwaterowania w warunkach, jakie przygotowano im w Kielcach. Na miejsce udała się specjalna komisja z KGP. W Łasku awaria dwóch nys, stara WT oraz jelcza. ZT Poznań zgłosił awarię 8 pojazdów.

31 maja o godz. 11.00 w Rzeszowie kierujący nysą (Nieetatowy Oddział Prewencji KWP Rzeszów), jadący w kolumnie radiowozów, potrącił na przejściu dla pieszych 75-letniego Juliana D. Kierowca trzeźwy. Przypuszczalną przyczyną wypadku było nagłe wtargnięcie pieszego na jezdnię.

Nastąpiło też zablokowanie na 40 min. kanału radiotelefonicznego. Dysponent wycofany, wszczęto postępowanie przygotowawcze. Pechowo zakończył się udział w zabezpieczaniu trasy szer. Pawła J., który skręcił nogę i odesłany został do izby chorych.

Dochodzi godzina 18.20. Papież wygłasza homilię. W sztabie telefonom nie ma końca. Zgłasza się przedstawiciel sztabu w Radomiu. Melduje o zakończeniu operacji zabezpieczenia na swoim terenie.

— Gratuluję, dobra robota, miło nam się z wami współpracowało. Dziękuję bardzo — mówi do słuchawki insp. Jerzy Stańczyk, by po chwili łączyć się już z innym rozmówcą.

Zajęci są również pozostali członkowie sztabu. Nic tu po mnie.

JERZY KIRZYŃSKI

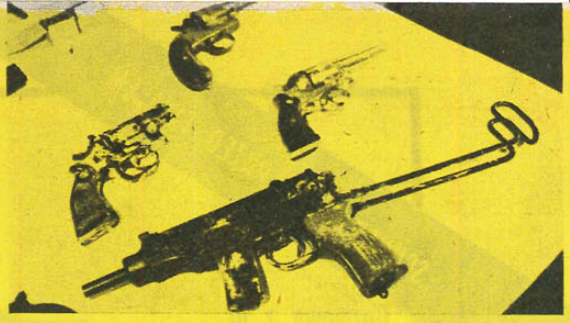

MAFIOSI CZY TERRORYŚCI?

6 czerwca funkcjonariusze Komendy Stołecznej Policji, z udziałem grupy antyterrorystycznej, zatrzymali w mieszkaniu na jednym z warszawskich osiedli kilkuosobową grupę obcokrajowców (w tym 2 kobiety) wyposażoną w czechosłowacki pistolet maszynowy marki Skorpion, rewolwer „Smith and Wesson", pistolet marki Luger i dwulufowy pistolet „damski". W momencie zatrzymywania przestępców ich broń była nabita.

Grupa obcokrajowców dysponowała samochodami i była wyposażona w profesjonalny sprzęt łączności radiowej, lunety i lornetki, a także w specjalną pętlę do zaciskania na szyi itp.

Postępowanie przygotowawcze w tej sprawie prowadzi Komenda Stołeczna Policji pod nadzorem prokuratury warszawskiej. Podczas przesłuchań zatrzymanych usiłuje się ich zidentyfikować. Najprawdopodobniej w tej sprawie konieczna będzie współpraca z zagranicznymi służbami policyjnymi, zajmującymi się zwalczaniem zorganizowanej przestępczości.

Do sprawy powrócimy w najbliższym czasie.

MAT
zdj. K. Mokrzyszewski

UWAGA CZYTELNICY!

WYDANIE SPECJALNE „MAGAZYNU KRYMINALNEGO 997" — ukaże się na przełomie czerwca i lipca br.

Na 32 stronach wakacyjnego numeru polecamy:

- reportaże: „Zagubione dusze" — relacja z więzienia dla kobiet; „Duch w operze" — o najciekawszych zakamarkach warszawskiej opery; „Lewe Batmany" — o wideopiractwie; „Kryminal love story" — o krakowskich prostytutkach; wszystko o komandosach.
- opowiadania kryminalne: „Pułapka"; „Wyrok", a także wyznania szpiega.
- ciekawostki: wszystko o kamizelce kuloodpornej, o pistolecie maszynowym mini UZI; ucho Stasi w łóżku itp.
- poradnik policyjny: „Policja radzi" — co zrobić, by ustrzec się przed włamywaczami.
- horoskop na wakacje i... NOWOŚĆ KRZYŻÓWKA „MK 997" — nagroda:

MILION ZŁOTYCH!

Tego jeszcze nie było. Szukaj numeru specjalnego „MK 997" w kioskach „Ruch" na przełomie czerwca i lipca 1991 roku.

GAZETA policyjna

Wkrótce w sprzedaży 13—14 numer „Gazety Policyjnej". Polecamy w niej: ● Wypowiedź ministra spraw wewnętrznych o przyszłości Policji i emeryturach ● Prawo i praktyka — Immunitet ● Jak uchronić się przed złodziejem? — „Wielkie znakowanie" ● Kto może zostać policjantem — wymogi psychologiczne stawiane kandydatom do pracy w policjach ● Języki sekretne ● Skargi na policjantów ● Porady prawne: Pominięcie drogi służbowej ●

„SCHNAPSGATE" PRZED FINAŁEM

Rozmowa z dr. KAZIMIERZEM KRASNYM, wicedyrektorem Departamentu Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości

KRYMINOGENNE PRZEPISY

— Panie dyrektorze, reprezentował Pan ministerstwo podczas wszystkich posiedzeń Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej zajmującej się tzw. sprawą schnapsgate. Czy można dzisiaj, pod koniec działalności wspomnianej komisji, prosić o ocenę i podsumowanie?

— Rozpocznę od przypomnienia, że wszystko zaczęło się od bulwersującej informacji, którą przedstawił Sejmowi ówczesny prezes NIK generał Hupałowski. Jak się bowiem okazało, kilka prowadzonych wówczas poważnych śledztw o przemyt alkoholu to nie początek, lecz końcowy etap afery alkoholowej. W owym czasie nie znaliśmy jeszcze tych form działań przestępczych, które poprzedzały ujawniony od kwietnia 1990 roku przemyt. Ustaliliśmy jednak, że zamiast biernego oczekiwania na materiały końcowe NIK zarówno jej jednostki terenowe, jak izby skarbowe, Policja i prokuratura podejmować będą swoje działania na podstawie danych, którymi dysponują. Efektem tego było wszczęcie łącznie około 1600 spraw karnych z art. 43 ustawy z 26 października 1982 roku o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi oraz zabezpieczenie należności celnych, podatkowych bieżącego wymiaru podatku obrotowego.

— Z Pańskich wypowiedzi na posiedzeniach Komisji Sejmowej wynikało, że na tle wykładni tego przepisu przez Sąd Najwyższy (uchwała z 21 lutego 1987 r.) zachodzi paradoksalna kolizja interesów...

— Zgodnie z uchwałą Sądu Najwyższego fakt skazania za art. 43 wspomnianej ustawy, przesądzający popełnienie „czynu zabronionego", uniemożliwiał skazanie oskarżonego z ustawy karno-skarbowej za występek podatkowy. Przede wszystkim uniemożliwiałby taki fakt opodatkowanie tej działalności. Innymi słowy niezamierzonym efektem tych kilkuset dochodzeń o przestępstwo z art. 43 byłoby pozbawienie Skarbu Państwa miliardowych należności podatkowych. Dlatego też 11 grudnia 1990 roku I zastępca prokuratora generalnego RP — Aleksander Herzog skierował do Sądu Najwyższego wniosek w sprawie wykładni artykułu 43 cyt. ustawy, że hurtowa sprzedaż alkoholu prowadzona przez podmiot gospodarczy nie wypełnia znamion tego przestępstwa. Skuteczna mogłaby być natomiast odpowiedzialność z art. 94 ustawy karno-skarbowej, co zarazem umożliwiłoby ściągnięcie należności podatkowej.

Drugi paradoks polegał na tym, że Ministerstwo Finansów, które minimalizując skutki afery, w piśmie do Komisji Nadzwyczajnej stwierdziło, iż niezależnie od błędów w interpretacji przepisów podatkowych przez jego pracowników, nie widzi trudności w ściągnięciu tych podatków, w postępowaniu przed Sądem Najwyższym nie było moim sojusznikiem, lecz przeciwnikiem.

— Wróćmy jednak do realiów afery...

— Po otrzymaniu końcowej informacji NIK w listopadzie 1990 roku, jej dokładnym i krytycznym przeanalizowaniu, wszczęto niezwłoczne tzw. główne śledztwo dotyczące spowodowania strat w budżecie państwa w wielkich rozmiarach, na skutek niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy publicznych zatrudnionych w resortach i urzędach centralnych, przekazując jego prowadzenie Komendzie Głównej Policji. Śledztwo to nadzoruje prokurator w Ministerstwie Sprawiedliwości Karol Napierski.

— Rozumiem, że w chwili obecnej omówienie wyników tak poważnego śledztwa jest jeszcze niemożliwe. Proszę jednak o kilka faktów charakteryzujących aferę...

— Już w pierwszym dokumencie Departamentu Prokuratury z listopada 1990 roku, polemizując z niektórymi ustaleniami i wnioskami NIK, uznaliśmy za trafne i uzasadnione twierdzenie zespołu kontrolnego, dotyczące nieprawidłowości w resorcie finansów i Głównym Urzędzie Ceł. Ta wstępna ocena znalazła potwierdzenie w dalszych ustaleniach śledztwa. Główne „grzechy" Ministerstwa Finansów — to błędy legislacyjne oraz praktyczna wykładnia obowiązujących przepisów podatkowych. Należą do niej przede wszystkim zasady wymierzania czy raczej zaniechania wymiaru podatku obrotowego w przypadku sprzedaży alkoholu w kraju za dewizy. Dalej — wymierzanie zamiast podatku obrotowego — opłaty skarbowej. Najbardziej bulwersujące było kryminogenne wyłączenie „osób zagranicznych" z obowiązku płacenia podatku obrotowego.

— Niektórzy posłowie tę sprawę „cudzoziemców" traktowali nawet jako podstawę do twierdzenia, że oczywistość błędu legislacyjnego wskazywała na celowość wyciągnięcia konkretnych, personalnych konsekwencji...

— Ja takich wniosków nie mogę wysuwać, jednak ustalenia, jakie w tym zakresie poczyniono, muszą co najmniej denerwować. Jeżeli bowiem sześciu wysokich urzędników Ministerstwa Finansów, a nadto dwóch wiceministrów opracowuje, a następnie podpisuje akt prawny, w którym używa się pojęcia „osoba zagraniczna", a więc pojęcia o ustalonym zakresie podmiotowym (obejmującym między innymi „osobę fizyczną za granicą" oraz „osobę prawną i nie mającą osobowości prawnej jednostkę organizacyjną, posiadającą siedzibę za granicą") — nie przewidując skutków podatkowych wyłączenia tej kategorii osób z obowiązku płacenia podatku obrotowego — jest to wysoce niepokojące. Jeszcze bardziej denerwuje oficjalne stanowisko ministra finansów będące odpowiedzią na raport NIK, w którym czytamy: „trudno było zatem założyć przy wydawaniu przepisów ww. rozporządzenia, iż osoby zagraniczne będą naruszały w zmowie z osobami krajowymi przepisy prawa dewizowego".

— Jak tłumaczyli błędność par. 1 pkt. 2 rozporządzenia ministra finansów z 30 grudnia 1989 roku, zwalniającego owe „osoby zagraniczne" z 800-procentowego podatku obrotowego, przesłuchiwani przez prokuratora lub Policję wysocy urzędnicy resortu i GUC?

— Oni też „nie przewidywali". Jeden ze współautorów tego aktu na pytanie, czy przy jego opracowywaniu zapoznał się z pojęciem „osoba zagraniczna" ujętym w prawie dewizowym — z rozbrajającą szczerością stwierdził, że nie, gdyż nie widział żadnego związku między treścią rozporządzenia, a tym pojęciem.

— Panie Dyrektorze, uwagę komisji zwróciło tolerowanie przez GUC oraz Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą tzw. obrotu niehandlowego, co zarówno Pan, jak i przedstawiciele NIK uznaliście za główny czynnik kryminogenny afery alkoholowej. Dlaczego tak oczywisty anachronizm pojęciowy, powodujący niezmiernie negatywne skutki celne, a następnie podatkowe dla Skarbu Państwa, mógł tak długo, bo aż do 1 stycznia 1991 roku, wyrządzać szkody fiskusowi?

— Istotnie, w praktyce urzędów celnych, aż do czasu wprowadzenia nowego prawa celnego, stosowano to stare pojęcie, mimo zmiany od 1 stycznia 1989 roku sytuacji faktycznej, zmieniającej jego sens. Zgodnie z tym pojęciem obrót towarowy inny niż dokonywany w ramach uprawnień do prowadzenia działalności w zakresie handlu zagranicznego, był określany jako „obrót niehandlowy". Całkowite przy tym zdumienie wywołuje fakt bezkrytycznego i formalistycznego traktowania przez urzędy celne odpraw wielkich ilości alkoholu wyłącznie na podstawie deklaracji o niehandlowym przeznaczeniu towarów. W okresie wzmożonego importu alkoholu

uszczuplono w ten sposób o miliardowe kwoty należności celne (płacono zaledwie tysiąc złotych od jednego litra alkoholu) oraz podatkowe (zamiast podatku obrotowego — płacono dużo niższą opłatę skarbową). Ustalenia śledztwa wskazują, że nieprawidłowości, o których mówimy, były znane w GUC, a niektórzy jego pracownicy informowali o tym swoje kierownictwo. Brakowało tylko jego reakcji.

— Jaki będzie los tych 1600 dochodzeń z art. 43 ustawy „przeciwalkoholowej" po wspomnianej wcześniej uchwale Sądu Najwyższego z 24 stycznia br.?

— Sprawy dotyczące bezpośredniego kontaktu sprzedającego z konsumentem wynikające z naruszenia tego przepisu, którego przecież uchwała SN nie uchyliła — trafią do sądów. Tam zaś, gdzie przedmiotem działania był nie naruszający owego artykułu 43 obrót handlowy — dalsze dochodzenia prowadzone są w kierunku ustalenia ewentualnych znamion występku z art. 94 u.k.s. lub innych. W przypadku niestwierdzenia przestępstwa nastąpi umorzenie postępowania i przekazanie sprawy urzędom skarbowym celem wyegzekwowania należnych podatków. Z napływających jednak do Departamentu Prokuratury informacji z terenu wynika, że w dalszym ciągu podległe Ministerstwu Finansów organy interpretują przepisy podatkowe w starym stylu.

— Na zakończenie chciałbym zapytać, czy w prowadzonym przez Komendę Główną Policji śledztwie, nadzorowanym przez prokuratora Napierskiego, przedstawiono już komuś zarzuty?

— Tak, zarzuty z art. 246 par. 1 postawiono dyrektorowi i wicedyrektorowi jednego z departamentów Ministerstwa Finansów. Kolejne przedstawienie zarzutów przewiduje się po ogłoszeniu końcowego stanowiska Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej. Uwzględnić tutaj należy ewentualną odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu. Pragnę jednak podkreślić, że niezależnie od konsekwencji karnych, niezmiernie istotne i pilne jest — w świetle ustaleń właśnie afery alkoholowej — dostosowanie przepisów celnych i podatkowych zarówno pod względem ich spójności, jak i zasad wymiaru do takiego stanu, aby same w sobie nie stwarzały czynnika kryminogennego.

— Dziękuję za rozmowę.

LESZEK J. SROKA
zdj. K. Mokrzyszewski

KULISY „SPRAWY PRZEMYKA"

Rozmowa z prokuratorem Błażejem Sobierajskim (cd.)

BARBARA SADOWSKA -WRÓG NUMER JEDEN

GRZEGORZ PRZEMYK
syn a może sen

Obwoluta tomiku wierszy Grzegorza Przemyka wydanego w 1983 r. przez oficynę „GŁOS"

□ — Pozaprocesowa działalność SB i MO miała charakter wielokierunkowy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w miarę upływu czasu śmierć Przemyka zepchnięta została na dalszy plan w poczynaniach partyjno-resortowych decydentów, natomiast w centrum ich zainteresowania znalazły się przede wszystkim dwie osoby: świadek — Cezary F., o czym mówiliśmy w poprzedniej rozmowie, i Barbara Sadowska — matka G. Przemyka.

— Pani Barbara Sadowska nie stała się ośrodkiem zainteresowania MSW od momentu, gdy zabrała Grzegorza Przemyka z Pogotowia Ratunkowego przy ul. Hożej, ale o kilkanaście lat wcześniej, z przyczyn wyłącznie politycznych. Była inwigilowana, zatrzymywana, aresztowana i poddawana innym szykanom. Była od lat związana z działalnością opozycyjną. Generał Kiszczak prezentując kierownictwu PRON sylwetkę p. Sadowskiej pominął w zasadzie tę kartę jej życiorysu, ograniczając się do wydobycia na światło dzienne tylko tych szczegółów, które mogły rzutować na negatywną o niej opinię. Podobnie stało się również w odniesieniu do innych „niewygodnych" osób związanych ze „sprawą Przemyka", z nim samym na czele. Skoro o tym mówimy, warto wspomnieć, iż były minister spraw wewnętrznych nie mógł nie znać prawdziwych biografii i Grzegorza Przemyka, i jego matki, ponieważ w aktach sprawy, ściślej w ich części do niedawna utajnionej, znajdują się ich dokładne charakterystyki. O Grzegorzu Przemyku w tajnej notatce informacyjnej, sporządzonej w kilka dni po jego śmierci, a więc przed wspomnianym posiedzeniem kierownictwa PRON pisano: „... Od najmłodszych lat wychowywany był przez matkę, pozostając pod jej wpływem. W wieku 16 lat rozpoczął początkowo naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Białobrzegach, a następnie w Liceum Ogólnokształcącym im. A. Frycza-Modrzewskiego. Opinia dyrekcji szkoły o Grzegorzu Przemyku jest pozytywna. Określony został jako uczeń nie stwarzający większych problemów, niekonfliktowy, wyróżniający się humanista, lubiany przez kolegów. Jak większość uczniów dopuszczał się drobnych naruszeń regulaminu szkolnego, np. przez spóźnianie się i nienoszenie regulaminowego obuwia. W rozeznaniu dyrekcji liceum — G. Przemyk posiadał dobry kontakt z matką, która prowadziła „dom otwarty", a osoby tam bywające wywodziły się ze środowisk opozycyjnych i mogły mieć wpływ na kształtowanie się charakteru Grzegorza. Mimo antypaństwowej działalności matki, nie przejawiał on na terenie szkoły działalności politycznej. Jednocześnie stwierdzono, że przez okres uczęszczania do szkoły nie był widywany pod wpływem alkoholu..."

Ta obiektywna opinia, pisana przez najbardziej chyba wiarygodne osoby, jakimi są nauczyciele stykający się z uczniem dzień po dniu przez kilka lat, nie ujrzała wówczas światła dziennego. Nie ukazały się również te artykuły w prasie oficjalnej, w których zawarto opinie koleżanek i kolegów Grzegorza Przemyka, przedstawiające go jako najlepszego polonistę, uzdolnionego poetę i dobrego człowieka. Niezależnie od urzędowej, zadziałała w tym przypadku supercenzura powołanej specjalnie do „sprawy Przemyka" grupy propagandowej, która urzędowała w gmachu byłego KC PZPR, a na czele której stał płk R. Z. z Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych. Motto jej działalności można zamknąć w jednym zdaniu: Przemyk, Sadowska, Cezary F. i wszyscy inni, którzy są odmiennego niż SB i MO zdania nt. sprawców śmierci Grzegorza — przedstawiani być muszą w negatywnym świetle.

— Do przykładów zaliczano np. przyjęcie imieninowe lub spotkanie towarzyskie, w trakcie którego jego uczestnicy wypili po kilka kieliszków alkoholu. Inwigilujący w swoich raportach natychmiast określali tego rodzaju spotkania „libacją". Stąd wiodła prosta droga do nazwania ich uczestników mianem „jednostek amoralnych", „alkoholików" i „rozpustników". W przypadku Barbary Sadowskiej, z racji prowadzenia przez nią „otwartego domu", przytoczoną wyżej argumentację stosowano przy byle jakiej okazji. Dlaczego przyjęto taką właśnie taktykę? Czy chciano w ten sposób dać odpór umacniającemu się w społeczeństwie przekonaniu, że śmiertelne pobicie Grzegorza nie było dziełem przypadku i miało nakłonić jego matkę oraz ludzi, z którymi była związana, do zaprzestania „antypaństwowej" działalności?

— Jest kwestią niezaprzeczalną, iż inny wymiar dla opinii publicznej mogła mieć śmierć G. Przemyka, jako syna osoby nieznanej, przy tym o dwuznacznej postawie moralnej, którą usilnie urabiano, a inny, jeśli uwzględnić doskonale znaną SB i innym departamentom MSW wieloletnią działalność polityczną p. Sadowskiej. Żeby w tym ostatnim stwierdzeniu nie być gołosłownym, posłużę się znowu materiałami MSW, które dopiero przed rokiem znalazły się w posiadaniu prokuratury. W dokumencie z 11 stycznia 1984 r., zatytułowanym „Informacja dot. figurantki sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „PARYŻANKA" nr ewid..." (taki kryptonim nadano „sprawie Sadowskiej" — przyp. LJS) czytamy: „... Sadowska pozostaje w zainteresowaniu organów Służby Bezpieczeństwa od 1964 r. Była rejestrowana przez SGO MSW do nr... do sprawy kryptonim „poszukiwany"... W 1967 r. rozmawiano z nią nt. środowiska Klubu Literackiego „Manekin" na Starym Mieście. W latach 1967—70 była ściśle związana ze środowiskiem „komandosów", m.in. poprzez osoby: Ewę Milewicz, Sławomira Kretkowskiego, Józefa Dojczgewanda, które stanowiły w tym czasie grono jej najbliższych przyjaciół. W latach 1976—79 objęta była sprawą operacyjnego rozpracowania kryptonim „Paryżanka" z uwagi na to, że: a) w sierpniu 1976 r. usiłowała wwieźć do kraju z Paryża 33 pozycje literatury antysocjalistycznej wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu; b) w styczniu 1976 r. podpisała petycję do Sejmu PRL w sprawie zmian w Konstytucji PRL; c) posiadała liczne kontakty ze środowiskiem opozycji politycznej w kraju. Związki Sadowskiej z b. KSS „KOR" funkcjonowały głównie za pośrednictwem Jerzego Ficowskiego i Ewy Milewicz. 10.02.1982 r. Wydział III-2 SUSW objął Sadowską rozpracowaniem w ramach sprawy kryptonim „Offset" prowadzonej na Niezależną Oficynę Wydawniczą z uwagi na posiadanie informacji operacyjnych, że udostępnia ona swoje mieszkanie dla spotkań grupy nielegalnej, zajmującej się działalnością poligraficzną... 17.02.1982 r. przeprowadzono przeszukanie mieszkania figurantki. W jego wyniku zakwestionowano 14 egz. „Wiadomości" wydanych po 13.12.1981 r. i zatrzymano Jerzego Kawczyńskiego, poszukiwanego przez Wydz. IV KW MO w Elblągu do internowania... Figurantka aktywnie działała w Prymasowskim Komitecie Pomocy Więzionym i ich Rodzinom z siedzibą w kościele św. Marcina. Figurantka zbierała dane o osobach internowanych i aresztowanych, przekazując je za pośrednictwem Ewy Kulik dla kierownictwa podziemia „S". 20.03.1982 r. funkcjonariusze MO dokonali kontroli mieszkania... Znaleziono aktualne nielegalne wydawnictwa m.in. 38 egz. „Sumienia". W związku z powyższym Prokuratura Garnizonowa 21.03.82 r. przedstawiła figurantce zarzut popełnienia przestępstwa z art. 48 ust. 3 „Dekretu o stanie wojennym" z zastosowaniem środka zapobiegawczego w postaci 3-miesięcznego aresztu tymczasowego... Barbara Sadowska w okresie przed 13.12.1981 r. i po ogłoszeniu stanu wojennego utrzymywała kontakty z działaczami NSZZ „Solidarność", m.in. z poszukiwaną Ewą Kulik — łączniczką Zbigniewa Bujaka... Twierdziła też, że posiada liczne kontakty z nową emigracją polityczną na Zachodzie oraz ma konspiracyjne powiązania ze Służbą Zdrowia (chodziło o służbę zdrowia MSW — przyp. LJS). (...) Z chwilą śmierci G. Przemyka Barbara Sadowska udziela licznych wywiadów korespondentom zachodnim. Od początku twierdzi, że jej syna zamordowali funkcjonariusze MO. Po śmierci syna opiekę Sadowskiej zapewnili przede wszystkim Elżbieta Ficowska, żona członka b. KSS „KOR" — Jerzego Ficowskiego, Ligia Uriaż-Grabowska — lekarz Prymasowskiego Komitetu Pomocy, ks. Jerzy Popiełuszko — figurant Wydz. IV SUSW, Wiktor Woroszylski — literat, Edward Lipiński — członek b. KSS „KOR". W okresie wizyty papieża w Polsce w 1983 r., B. Sadowska została przez niego przyjęta na prywatnej audiencji (...) Z pomocą Wiktora Krzysztoporskiego, figuranta tut. Wydziału opublikowała w nielegalnym wydawnictwie „Głos" wiersze swojego syna Grzegorza Przemyka... Osobny rozdział w działalności figurantki stanowią jej kontakty z cudzoziemcami. Można ich podzielić na 4 kategorie: dziennikarze, dyplomaci, osoby udzielające pomocy charytatywnej, inne kontakty towarzyskie (dalej następują nazwiska wraz z danymi tych osób — przyp. LJS). W oparciu o ww. cudzoziemców B. Sadowska podjęła próbę utworzenia kanału przerzutowego materiałów i sprzętu poligraficznego z Zachodu".

Cytowane tutaj obszerne fragmenty dossier Barbary Sadowskiej, pisanego przez podwładnych generała Kiszczaka, stawiają pod znakiem zapytania prawdziwość z uporem lansowanych przez MSW „pewników": że osoba Grzegorza Przemyka była SB i MO nie znana i milicjanci nie

dokończenie na s. 21

SEZAM 997

Ponad 50 tysięcy samochodów, 12 tysięcy magnetowidów, 10 tysięcy telewizorów etc., etc. W Centralnej Kartotece Rzeczy Utraconych w Biurze Informatyki KGP znajduje się ponad 120 tysięcy pozycji. Tyle to właśnie skradzionych przedmiotów, posiadających cechy numeryczne, zostało w ostatnich latach zarejestrowanych przez Policję w całym kraju. Nie ma tu biżuterii, dzieł sztuki, odzieży, mebli, dywanów, sztućców i wszystkiego tego, co nie posiada cech trwałych. Nie ma też tych telewizorów, magnetowidów czy magnetofonów, których właściciele nie potrafili podać po włamaniu ich numerów fabrycznych. Choć zdarzają się i takie przypadki, kiedy ktoś prosi o zarejestrowanie w CKRU — francuskiego krawata, ale jest to na razie niemożliwe. Podobnie z dziełami sztuki, choć w tym wypadku są już prowadzone prace, by je rejestrować. Co prawda obrazy Kossaka czy Chełmońskiego nie mają numerów fabrycznych, jak np. sprzęt wideo, ale są inne sposoby, by wprowadzić je do pamięci komputera. Szerzej na ten temat, a także o kradzionych samochodach poinformujemy w następnych wydaniach „Sezamu". Dziś chcemy zaprezentować kilka pochodzących z kradzieży i włamań, a odzyskanych ostatnio przez Policję przedmiotów, które jak dotąd nie znalazły swoich właścicieli. Choć w kontekście przytoczonych na wstępie liczb jest to przysłowiowa

KROPLA W MORZU

Telewizory „Sony" nr 4-390-524-02, „Sanyo" 65144068, wideo „Maxim" VHS 01105539F, „Sharp" VC „Aiwa" 007528, „Funai" H 51914021, wieża „Sony" 910838, miniwieża „Elektra" z pilotem 90/02190, magnetofony „Unitra Cassete Deck" M 3016 nr 027973, „Phillips" N-2 2276339 oraz gramofon „Emanuel" G-902 FS.

Może ktoś rozpozna swoją własność? Sprzęt ten znajduje się w dyspozycji KSP, ale może pochodzić z terenu całego kraju.

Ponadto stołeczna Policja dysponuje odzyskaną od przestępców biżuterią. Ta co prawda nie posiada numerów, ale może ktoś rozpozna swoje pierścionki? Prosimy o kontakt.

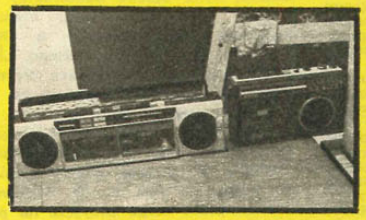

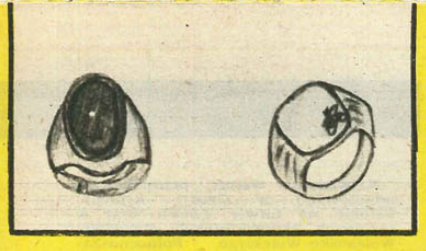

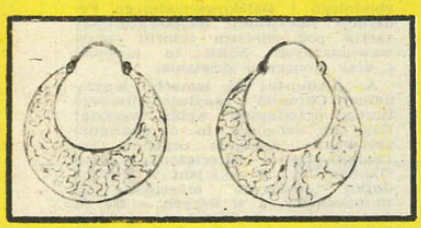

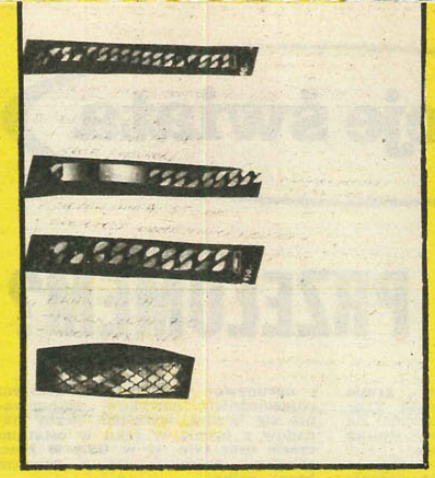

JEDNO Z WŁAMAŃ

Nieznani sprawcy, korzystając z nieobecności domowników, wyłamali drzwi balkonowe na pierwszym piętrze bloku przy ul. Zubrzyckiego w Bydgoszczy. Z mieszkania zabrali m. in. magnetowid „Panasonic" NV-225 nr 05772, kamerę wideo tej samej firmy, aparat fotograficzny z komputerem marki Canon, radiomagnetofon „Emanuelle 3", złotą biżuterię, skórzaną odzież etc. Przy okazji wzięli także komplet kluczy do sejfu zakładu złotniczego, którego właścicielem był okradziony mieszkaniec ul. Zubrzyckiego. Przestępcy udali się do zakładu, ukręcili kłódki w kracie na drzwiach, drzwi wypchnęli, a sejf otworzyli zabranymi z mieszkania kluczami. O ile suma strat z mieszkania sięgała 100 mln zł, to w zakładzie przekroczyła 500 mln zł. Zginęły kamienie jubilerskie; cyrkon, szafir niebieski i in., wyroby złotnicze próby 583 wagi 200 i 250 gram (łączna waga skradzionych wyrobów ze złota wynosi 1014,590 g próby 583). Zginęły także wyroby złotnicze pozostawione przez klientów o wadze łącznej 2366,470 g, a nawet naczydzia złotnicze takie jak: szczypce, piłeczki włosowe, wiertła, frezy, szczotki polerskie, matryce do medalionów i wisiorków, ramki jubilerskie i palnik. Niektóre z tych przedmiotów prezentujemy na zdjęciach.

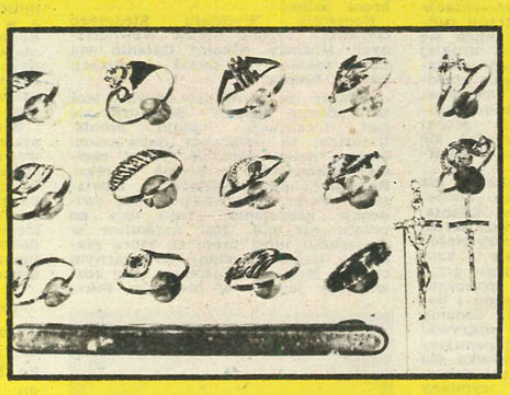

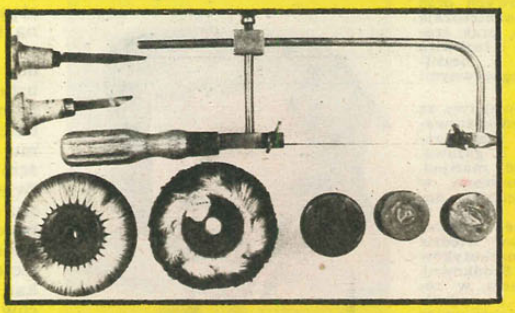

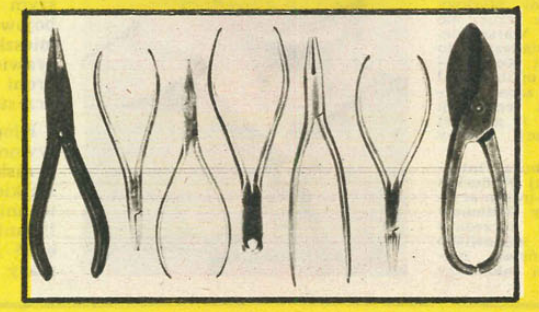

W BUDAPESZCIE

17 sierpnia ub. r. znaleziono zwłoki mężczyzny w znacznym rozkładzie, uniemożliwiającym identyfikację. W kieszeni kurtki denata widniały szczątki gazety z polską czcionką. Na podstawie badań antropologicznych odtworzono w dużym przybliżeniu wizerunek twarzy nieznanego mężczyzny. Trudno jednak powiedzieć, na ile jest on wierny. W każdym razie mężczyzna ten miał od 25 do 45 lat, 175 cm wzrostu, był średniej budowy ciała i miał ciemne włosy. Posiadał grupę krwi B Rh+. Na kurtce odcyfrowano napis pozostawiony ołówkiem chemicznym: „4943 ZK" — może pochodzić np. z pralni. Może ktoś rozpoznaje tego mężczyznę, który w ub. r. przebywał na Węgrzech?

Ktokolwiek mógłby udzielić jakichkolwiek informacji w prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o kontakt z naszą redakcją, Komendą Główną Policji lub najbliższą jednostką Policji.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor

ZNAKI IDENTYFIKACYJNE SAMOCHODÓW

3

Oznaczenia identyfikacyjne samochodów umieszczane są bezpośrednio na elementach nadwozia, podwozia lub silnika, względnie na metalowych tabliczkach mocowanych trwale na powierzchni znakowanego wyrobu. Miejsce, na którym nanoszone są te znaki, określa się jako pole numerowe.

Na silnikach pola numerowe znajdują się najczęściej na specjalnych nadlewach lub innych elementach, których powierzchnie obrabiane są skrawaniem (najczęściej frezowane). Widać na nich wyraźne ślady obróbki maszynowej. Niektóre jednak firmy wybijają numery silników bezpośrednio na powierzchni odlewu, w miejscach nie obrabianych skrawaniem (np. niektóre modele silników firmy „Peugeot"), inne na metalowych tabliczkach, nitowanych najczęściej do korpusu silnika (np. niektóre modele silników „Renault").

Numery silników znajdują się przeważnie w miejscach dobrze widocznych po otwarciu pokrywy silnika. Ale nie zawsze. Wyjątkiem są tu np. samochody z silnikiem benzynowym „Fiat" o pojemności 2000 (Fiat 132, Polonez 2000), w których numery identyfikacyjne trudno dostrzec na pierwszy rzut oka. Niekiedy numery silników można odczytać dopiero po wprowadzeniu samochodu na kanał bądź też po zdemontowaniu pewnych elementów osprzętu (np. filtra powietrza, klimatyzatora, nagrzewnicy) lub nawet wymontowaniu silnika. Warto pamiętać jeszcze o jednym. Numer identyfikacyjny samochodu umieszczony na silniku nigdy nie jest wypukły, w odróżnieniu od innych symboli i numerów tam wybitych.

Numery „tożsamości" samochodów nanoszone są najczęściej na powierzchnię nadwozia po lakierowaniu. Stąd też na polu numerowym powinny występować takie same warstwy lakieru, jak na sąsiednich elementach. W samochodach osobowych występują one z reguły:

— w komorze silnika, na prawym wzmocnieniu bocznym, w pobliżu gniazda prawego amortyzatora, komory wlotu powietrza, na górnej poprzeczce na przegrodzie czołowej lub na krawędzi przegrody wzmocnienia czołowego,

— w kabinie: na podłodze w okolicy przedniego fotela,

— na prawym, środkowym lub przednim słupku,

— w bagażniku: na podłodze z prawej strony.

Natomiast w furgonach numery te występują najczęściej na prawym nadkolu, prawej podłużnicy w pobliżu przedniego prawego koła, na prawym stopniu kabiny, na podłodze przy prawym fotelu oraz na prawym przednim słupku.

Niekiedy zdarzają się również pomyłki w oznaczeniach. W odniesieniu do mniejszych elementów, np. silnika, korpus z błędnie wybitym numerem jest złomowany. W przypadkach pomyłek w oznaczeniu samochodów, błędny symbol jest przekreślany (nabitym X) i nad nim nanoszony jest znak prawidłowy.

W ostatnich latach ogromnie nasiliło się zjawisko kradzieży samochodów i fałszowania ich znaków identyfikacyjnych. Sprawcy tych przestępstw, przygotowując skradzione pojazdy do sprzedaży, posługują się kilkoma sposobami fałszowania ich „tożsamości". Do najczęściej spotykanych należą:

1) wycinanie numeru oryginalnego i wstawianie w to miejsce elementu z oryginalnym numerem z innego samochodu tej samej marki. Sfałszowanie to można ujawnić jedynie przez zbadanie jednorodności warstw powłoki lakierniczej i blachy danego elementu nadwozia oraz sposobu połączenia z nadwoziem fragmentu blachy zawierającej numer. W przypadku zmiany numeru samochodu wymieniana jest najczęściej także tabliczka firmowa, w związku z czym ślady wskazujące na ponowne jej montowanie lub brak mogą sygnalizować fałszerstwo;

2) zaszpachlowanie z ewentualnym wcześniejszym sklepaniem numeru i nabicie nowego. Na dokonanie fałszerstwa wskazuje inna lokalizacja numeru i najczęściej mniej precyzyjne wykonanie (nierówności w ustawieniu, odległości i głębokości znaków) lub też inna wielkość i kształt znaków.

3) zmiana (przebicie) poszczególnych znaków polega na zamianie cyfr, np. 3 na 8 lub 9, albo 5 na 6, przez odciśnięcie (wybicie) brakujących fragmentów znaków, np. 8 na 3. Ujawnienie dokonanego fałszerstwa jest możliwe przy dokładnych oględzinach numeru z użyciem przyrządów powiększających;

Znaki identyfikacyjne samochodu mogą być również wypalane metodą elektroiskrową. Są one jednak nietrwałe (ze względu na korozję) i łatwe do usunięcia za pomocą papieru ściernego. Znacznie większą trudność stanowi naniesienie nowego numeru, bowiem przy ręcznym wykonaniu nie można uzyskać tak dużej precyzji jak fabrycznie. Stwierdzenie fałszerstwa nie stwarza poważniejszych trudności, natomiast ujawnienie usuniętych znaków nie jest na ogół możliwe.

(Wg J. Gryglewski, M. Gosławski: Znaki identyfikacyjne samochodów osobowych i dostawczych. W-wa 1989 Inst. Kryminalistyki MSW).

opracował JERZY PACIORKOWSKI

policje świata

ZSRR

PRZED PRZEŁOMEM?

Co kraj, to obyczaj — to powiedzenie w pełni potwierdza się, gdy mowa o Związku Radzieckim, obowiązujących tam normach prawa, a także praktycznej ich realizacji. Kilka obserwacji, które przedstawię czytelnikowi dotyczy samej Rosji, gdyż jest ona obszarem najbardziej reprezentatywnym dla ZSRR.

Wizytówką każdego kraju, jego kultury, w szczególności kultury prawnej, jest przejście graniczne. Dla przeciętnego Polaka udającego się do Moskwy zderzenie z radziecką rzeczywistością to przede wszystkim kontakt z celnikami i pogranicznikami w Brześciu. Kontrola, poza rutynowym sprawdzeniem tożsamości, polega na zabraniu paszportów (rzecz jasna, prócz dyplomatycznych) do ostemplowania. U osób, które rzadko jeżdżą na Wschód, fakt ten budzi uzasadnione zdumienie, zresztą każdy chyba odczuwa wewnętrzny sprzeciw. Bardziej urozmaicone i ciekawsze sytuacje zdarzają się w drodze powrotnej do Polski. Na przykład przemyt złota w słoju ze śledziami w zalewie korzennej o pojemności 3 litrów. Każdy uczciwy Polak powinien wiedzieć, że nie zaszkodzi mieć butelczynę „Wyborowej", bo radziecki (i polski) celnik ją lubi, ewentualnie — jak głosi wieść gminna — nieco „zielonych", najlepsze ponoć lekarstwo na natrętnego i chciwego celnika.

Moja ostatnia podróż do Moskwy i Nowosybirska potwierdza wcześniejsze obserwacje: obywatel radziecki jest bezsilny wobec biurokratycznej machiny państwa. Kto głośniej krzyczy — ten niewątpliwie ma rację, kto jest śmiały — temu niewątpliwie wolno. Słabym pozostaje tylko pokora i uniżoność.

Moskwa. Bazar przy stacji metra „Riżskaja". Kto wyznacza granice między spekulacją a uczciwym handlem? Tłumy ludzi zajmują ogromny plac przy hali targowiska. Ożywione rozmowy przekupniów, pstrokacizna ubiorów, mozaika języków i dialektów... Raptem nastrój targowiska pryska. Na bazar wkracza grupa szturmowa milicji w pełnym rynsztunku i kopniakami rozrzuca na prawo i lewo prowizoryczne stoiska z towarem. Ludzie pierzchają.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to absolutna nieudolność i dezorientacja organów władzy i administracji państwowej. Z jednej strony chce się przeprowadzić reformy, z drugiej najzwyczajniej w świecie się je dławi. Przykładem — radziecki przedsiębiorca-milioner Artiom Tarasow, któremu wszelkimi sposobami władze usiłowały wytoczyć proces o „nieuczciwe wzbogacenie się", ale który wyszedł obronną ręką z oskarżenia.

Nie stworzono warunków dla „zdrowej konkurencji", więc „kooperatywy" drenują kieszenie klienta. Przeciętny obywatel nie widzi zatem w tych firmach żadnej przyszłości, a już tym bardziej wyjścia z kryzysu. Stosunek nieświadomego przyczyn tego stanu rzeczy społeczeństwa rzutuje na decyzje rządu i hamuje postęp reform. Jeśli dodamy do tego wewnętrzne rozgrywki o władzę, łatwiej zrozumieć panujący chaos i klimat będący pożywką dla świata przestępczego. Ostatnie dekrety prezydenta, dotyczące wymiany banknotów 50- i 100-rublowych oraz „O walce z sabotażem" potwierdzają tylko, zdaniem wielu osób, brak zrozumienia przyczyn chaosu i rozkwitu przestępczości, świadczą o bezsilności władz o walce z negatywnymi zjawiskami.

Handel spod lady i łapownictwo są jedynym ratunkiem dla zdesperowanego obywatela. Wzrasta liczba napadów z bronią palną i gazową. Rozwija się przestępczość mafijna. Gangi, znakomicie wyposażone w zdobycze współczesnej techniki, dobrze prosperują, mocno siedzą w skorumpowanym systemie administracyjnym. Przez Moskwę wiedzie główny szlak przemytu narkotyków na Zachód z krajów Azji Środkowej. Zagrożenie wzmaga sytuacja w republikach zakaukaskich i nadbałtyckich. Co prawda obcokrajowiec spacerujący nocą ulicami Moskwy czy Nowosybirska może czuć się bezpieczniej niż np. w Warszawie, ale o niczym to nie świadczy. Oto Komitet Polityczny Partii Konstytucyjno-Demokratycznej opublikował oświadczenie, w którym żąda prawnego usankcjonowania i legalizacji sprzedaży broni palnej i gazowej jako skutecznej gwarancji obrony osobistej obywateli...

Zastępca naczelnika Biura Interpolu w MSW ZSRR Jurij Fiedoskin i szef służby operacyjno-informacyjnej tego Biura Konstanty Rodionow są przeciwni legalizacji sprzedaży broni. Uzasadniają swoje stanowisko sytuacją wewnętrzną państwa, niekontrolowanymi emocjami młodzieży i ugrupowań politycznych, brakiem odpowiednich nawyków posługiwania się bronią, wzrostem liczby napadów z bronią w ręku w ostatnim czasie oraz tym, iż w USA 60 proc. zabójstw dokonuje się z użyciem broni palnej.

Naczelnik Wydziału Śledczego Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych Moskwy Nikołaj Gałanin ma inne zdanie na temat legalizacji handlu bronią:

— Może się to wydać dziwne, lecz ja „obiema rękami" podpisuję się pod legalizacją handlu bronią. Umożliwi to uczciwym obywatelom obronę przed napaścią, coraz częściej dokonywaną z bronią w ręku. Rozumny handel pozwoliłby, nawiasem mówiąc, wprowadzić ścisłą ewidencję uzbrojenia, czego dziś po prostu nie ma. Jest natomiast w posiadaniu ludzi broń, za którą płaci się bajońskie sumy na czarnym rynku. Myślę, że problem ten rozwiążemy jeszcze w bieżącym roku.

Największy wzrost przestępczości odnotowano w Gruzji, Armenii, Estonii, na Litwie, Łotwie oraz w regionach ekonomicznych obwodów: Wołżańsko-Wiackiego, Północno-Zachodniego i Dalekowschodniego Federacji Rosyjskiej. Najpoważniejszy zarzut pod adresem resortu spraw wewnętrznych ZSRR to bierność i brak koncepcji działania.

A. Aładinskij na łamach „Kriminalnej Chroniki" zapytuje, dlaczego liczba przestępstw wciąż wzrasta? Czy nie świadczy to o obniżeniu sprawności działania organów porządkowych, o przeciążeniu pracą? Okazuje się, że policjant w Nowym Jorku „obsługuje" przeciętnie 150 mieszkańców, a w Paryżu — 180. W Leningradzie natomiast na jednego milicjanta przypada średnio 1500, a w obwodzie — 2500 mieszkańców. Podobne proporcje dotyczą zakresu obowiązków dochodzeniowców i innych specjalistów. Tymczasem autorytet milicjanta w społeczeństwie upada, brak społecznego poparcia dla jego działań.

Wielki problem społeczny stanowią alkoholicy, których jest zarejestrowanych 4,5 miliona. Liczba przestępstw dokonanych w stanie nietrzeźwym wzrosła w ciągu 8 miesięcy 1990 roku o 12 proc. Oznacza to, że dwie trzecie wszystkich przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu dokonuje się po spożyciu alkoholu (ponad 70 proc. zabójstw i ciężkich uszkodzeń ciała).

Według danych zastępcy prokuratora generalnego ZSRR W. Krawcowa i przewodniczącego Iwanowskiego Sądu Ludowego W. Simienki połowa przestępstw pozostaje nie rozpoznana i uchodzi bezkarnie. Przyczyny tego stanu rzeczy upatrują oni w niedostatkach radzieckiego ustawodawstwa, jego nadmiernej humanizacji, która w efekcie obróciła się przeciwko tworzącemu ją społeczeństwu. Paradoksem jest w takiej sytuacji — twierdzą Krawcow i Simienko — wprowadzenie prawa podejrzanego do obrony już w najwcześniejszym stadium śledztwa. Społeczeństwo pragnie łagodzenia kar, a metody działania sprawców odznaczają się coraz większym okrucieństwem. Liczba rozbojów (napady na kierowców, mieszkania prywatne) wzrosła prawie dwukrotnie, z użyciem broni palnej dokonano 4,6 tys. przestępstw.

Kłopoty kadrowe i brak efektywności pracy milicji wiążą się z niskimi uposażeniami i niedostatkiem nowoczesnego sprzętu technicznego. I tak zarobki milicjanta w 1990 r. były niższe o 65 rubli od średniej krajowej płacy robotnika zatrudnionego

Izrael

„WSZYSCY JESTEŚMY SZERYFAMI!"

„Jeżeli czujecie się zagrożeni, nie wahajcie się, strzelajcie!". Tak namawiał ludność cywilną na kilka dni przed Wielkanocą — świętami chrześcijan i Żydów, zbiegającymi się w tym roku z Ramadanem oraz Dniem Ziemi Palestyńskiej — szef izraelskiej policji Yaakov Terner.

„Jesteśmy wszyscy szeryfami!" ironizował z wystąpienia szefa policji izraelski dziennik „Haaretz", przypominając przy okazji, że ponad 300 tysięcy Izraelczyków posiada zezwolenie na broń, a od wojny w Zatoce Perskiej sprzedaż pistoletów różnego kalibru wzrosła w Izraelu przynajmniej o 30 proc.

Psychoza zamachów, ciężka atmosfera kolektywnej paranoi — „wojny na noże", wskutek której w ciągu zaledwie miesiąca zabitych zostało sześć osób, a dziesięć odniosło rany, szczególnie obciąża nastroje w miejskich ośrodkach Izraela. Uzbrojeni cywile, pistolet przy biodrze albo automatyczny karabin na siedzeniu samochodu, to widok tak częsty, jak liczni żołnierze z bronią w ręku na ulicach, w sklepach i restauracjach Jerozolimy.

Podobne sceny to częsty widok na ulicach Jerozolimy

(zdj. AP)

w przemyśle. Obserwuje się intensywną fluktuację kadr, ludzie odchodzą do spółek, prywatnych agencji detektywistycznych, milicja miała w 1990 r. 60 tys. wakatów.

Dla porównania: uposażenie policjanta w Kanadzie jest 1,5 raza wyższe od średniej płacy krajowej, dlatego jego praca cieszy się społecznym prestiżem. Do pracy w policji idą najlepsi. Dopiero z tych tworzy się kadry. 50 proc. kandydatów do szkoły policyjnej w Kanadzie to absolwenci uniwersytetów. W szkołach resortowych przypada 9 kandydatów na 1 miejsce. Podobnie w USA. A w ZSRR?

Wszystkiego 40 rubli stypendium słuchaczy szkół resortowych, dwukrotnie mniej niż wynosi minimum socjalne! Specjaliści są zdania, że niezbędne jest co najmniej dwukrotne podniesienie uposażeń szeregowych, a 1,5 raza winny wzrosnąć płace oficerskie. Konieczne jest ubezpieczenie milicjanta od okaleczeń, zranień lub kontuzji, ustalenie za nie rekompensat pieniężnych, nie mówiąc już o dodatkach za pracę w trudnych warunkach. Brak środków transportu, środków łączności radiowej i przewodowej, potrzeby te są zaspokojone odpowiednio w 89, 79 i 80 procentach. Na unowocześnienie techniki trzeba wyłożyć 6 mld rubli. Oto w wielkim skrócie warunki pracy milicji w ZSRR.

WALDEMAR GAJEWSKI

Władze nie czynią zbyt wiele dla odprężenia atmosfery, a siły bezpieczeństwa powtarzają, że jest niemożliwością postawienie uzbrojonego człowieka za każdym obywatelem. Minister policji oświadczył, że odtąd cywile sami odpowiadają za swoje bezpieczeństwo".

Problemem jest, do kogo i w jakich warunkach nowi „szeryfowie" Izraela mogą i „powinni" strzelać. Czy kiedy ktoś po prostu wygląda podejrzanie i jest Arabem? A jeśli Żyd okaże się podobny do Araba? — konkluduje „Haaretz".

na podst. „Le Monde" oprac. MARIAN OWCZAREK

Francja

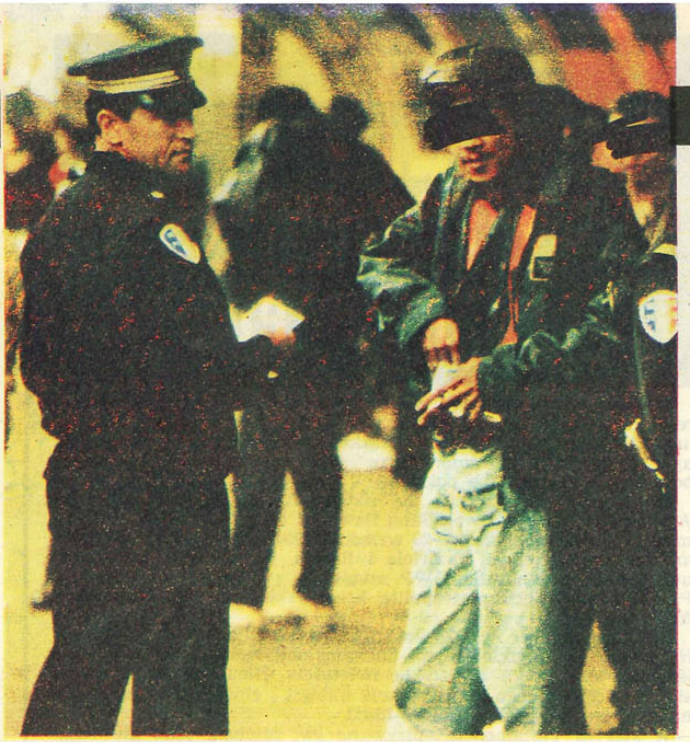

NASI W PARYŻU

Byli wśród dwudziestu policjantów polskich, którzy w ramach współpracy polskiej i francuskiej policji odbyli pięciomiesięczne przeszkolenie nad Sekwaną: komisarz Krzysztof Żyndul — zastępca dowódcy batalionu ds. ogólnomiejskich w Szczecinie (przed wyjazdem rzecznik prasowy KWP w Szczecinie) i nadkomisarz Dariusz Rudy — od marca 1991 roku komendant IV Komisariatu Policji w Szczecinie.

Nim jednak otrzymali dyplomy absolwentów Wyższej Szkoły Inspektorów Policji Narodowej, która mieści się w Cannes-Ecluse pod Paryżem, przeszli długą i żmudną drogę. Najpierw kilkutygodniowy kurs przygotowawczy w podwarszawskim Legionowie, gdzie grupa 33 kandydatów do wyjazdu codziennie przez kilka godzin uczyła się języka francuskiego, oprócz tego również codzienne zajęcia z samoobrony. Po trzech miesiącach egzamin ze znajomości francuskiego, przeprowadzony przy współudziale pracowników ambasady Francji w Warszawie. Dopiero potem wyjazd i pięciomiesięczny pobyt we Francji, na który złożyły się czteromiesięczna nauka w Cannes-Ecluse i miesiąc praktyki w różnych formacjach policyjnych.

Co dał im pobyt nad Sekwaną? W jakim stopniu zdobyte tam wiedza i doświadczenie mogą być wykorzystywane w Polsce? Jakie wrażenie wywarła na nich francuska policja: co się spodobało, a na co patrzyli krytycznym okiem?

Dariusz Rudy: — Podczas szkolenia w Wyższej Szkole Inspektorów Policji Narodowej przedstawiono nam ogólną rolę policji francuskiej. Udało nam się w ciągu czterech miesięcy opanować program szkoły oficerskiej, trwający normalnie dwanaście miesięcy. Było to możliwe tylko dlatego, że każdy z nas ma pewien bagaż doświadczeń wyniesiony z kilkuletniej praktyki. Francuska policja podkreśla, że działa w oparciu o prawa człowieka i tego ducha starano się nam przede wszystkim wpoić. Może dlatego w każdym z francuskich komisariatów, w których miałem okazję przebywać, na honorowym miejscu zawieszony jest tekst Deklaracji Praw Człowieka. Francuska policja nie pełni prewencyjnych funkcji represyjnych — nie nakłada mandatów, nie sporządza wniosków do kolegium, nie legitymuje. Interesuje się natomiast obywatelami, kiedy ci zaczynają łamać prawo.

Krzysztof Żyndul: — Policja francuska w stosunku do przeciętnego obywatela nastawiona jest usługowo i pomocniczo, służąc daleko idącą pomocą w każdej sytuacji życiowej. Ale ta sama policja w zetknięciu z przestępcą jest bezwzględna, ostra, zdecydowana. Podczas miesięcznej praktyki uczestniczyłem między innymi w akcjach, podczas których likwidowano gang złodziei samochodowych i handlarzy narkotykami. Ponieważ francuskie prawodawstwo nie zezwala na dokonywanie aresztowań w domu, czekaliśmy na podejrzanych aż ukażą się na ulicy. Później wypadki potoczyły się jak w filmach sensacyjnych: przystawiony do głowy pistolet, obszukanie delikwenta na masce samochodu, ręce skute od tyłu kajdankami. Nie powiem, że Francuzi są brutalni, bo takiej sytuacji nie widziałem, ale na pewno bardzo konsekwentni w działaniu. Doszedłem do wniosku, że chciałbym pracować w takiej policji w Polsce. Stosowane metody służą przecież ochronie policjantów i spotykają się z pełnym zrozumieniem ze strony społeczeństwa.

Dariusz Rudy: — W Polsce w podobnej sytuacji niejednokrotnie musimy tłumaczyć postronnym przechodniom powody takiego postępowania. We Francji w zupełności wystarczy, by policjant działający nawet po cywilnemu, pokazał legitymację i dalej wykonywał swoje czynności. Niekiedy może wręcz liczyć na pomoc osób będących w pobliżu. Wszystko dzięki temu, że Francuzi przywiązują ogromne znaczenie do pozytywnego image policji. Dość powiedzieć, że odbywają się nawet specjalne szkolenia dla tych funkcjonariuszy, którzy na co dzień mają kontakt z obywatelem. Nie wiem, na ile pozytywne opinie zależą od samego wyglądu komisariatów. Każdy ma dwa wejścia: jedno dla interesantów załatwiających jakieś sprawy urzędowe, drugie natomiast służy do wprowadzania przestępców. Francuz przychodzący do komisariatu czuje się tak samo, jak na poczcie albo w urzędzie. Nie ma w ogóle wrażenia, że znajduje się w placówce policyjnej. We Francji nie do pomyślenia jest sytuacja, która nagminnie zdarza się w Polsce — obywatel załatwiający jakieś sprawy urzędowe niejednokrotnie przebywa w tej samej poczekalni, co złodziej albo chuligan.

Krzysztof Żyndul: — Nie musiałem jednak wstydzić się swojej wiedzy z zakresu kryminalistyki, kryminologii, procesu karnego czy historii prawa, którą zdobyłem w szkole oficerskiej w Szczytnie. Francuzi byli chyba nawet trochę zaskoczeni reprezentowanym przez nas poziomem wyszkolenia. Był na tyle wysoki, że w kilku sytuacjach okazaliśmy się nawet bardziej dokładni od naszych partnerów. Na pewno różniliśmy się w spojrzeniu na funkcjonowanie i rolę policji. Poza sferą kształcenia zawodowego w naszych szkołach oficerskich duży nacisk kładziono na tematykę polityczną i ideologiczną. Tam tego nie ma. Podczas procesu kształcenia olbrzymią wagę przywiązuje się do humanitaryzmu, poszanowania demokracji i praw człowieka.

Dariusz Rudy: — Różnimy się także pod względem organizacji pracy. Naszą policję gnębi głównie formalizacja. Tymczasem we Francji w miastach działają brygady zajmujące się jednym rodzajem przestępstw np. kradzieżami kieszonkowymi czy handlem narkotykami. Brygady podzielone są na kilkuosobowe grupy pracujące przede wszystkim w terenie. Ich zadaniem jest łapanie przestępców na gorącym uczynku. Jeśli takiego sprawcę zatrzymają, załatwiają wszystkie czynności procesowe łącznie z przeszukaniem i przesłuchaniem podejrzanego. Przygotowane z tych czynności materiały przekazują grupom dochodzeniowym. Duży nacisk kładzie się na wyszkolenie policjanta dochodzeniowego. Ma on prawo dokonywania przeszukań, przesłuchania świadka i podejrzanego. Uprawnienia procesowe otrzymuje on od prokuratora po wykazaniu, że posiada odpowiednie predyspozycje do wykonywania tego typu zadań.

Krzysztof Żyndul: — W efektywnym działaniu tamtejszej policji na pewno bardzo pomaga uproszczona do minimum procedura karna w postępowaniu przygotowawczym. Szafy francuskich policjantów są puste i nie zalegają w nich, jak to ma miejsce u nas, setki teczek starych spraw. Jeśli na podstawie pierwszych czynności na miejscu zdarzenia po przyjęciu zgłoszenia o przestępstwie widać, że znikome są szanse na wykrycie sprawcy w pierwszym etapie śledztwa, zebrany materiał wysyła się do prokuratury z informacją, że na obecnym etapie postępowania wykrycie sprawców nie jest możliwe. Taki tryb postępowania dotyczy przede wszystkim spraw prostych i niegroźnych ze społecznego punktu widzenia: kradzieży z kurników, włamań do piwnic itp. Takie przestępstwa nie obciążają, jak w Polsce, przez kilka tygodni policji, rejestrowane są w prokuraturze i z reguły odkładane ad acta.

Dariusz Rudy: — Nasza Policja jest jednym dużym workiem, do którego ładuje się różne formacje. Tymczasem są różne służby i społeczeństwo powinno o tym wiedzieć. Tak właśnie zrobili Francuzi. Młodzi ludzie, którzy odrabiają wojsko, różnią się umundurowaniem od zawodowych policjantów dzięki zielonym pagonom i otokom na czapce w tej samej barwie. Inne wyróżniki mają funkcjonariusze, którzy biorą udział w rozpraszaniu manifestacji.

Krzysztof Żyndul: — Dzięki pobytowi we Francji cała dwudziestka nauczyła się języka, ale nie to jest z pewnością najważniejsze. Przekonaliśmy się bowiem, że można pracować inaczej, a jednocześnie efektywnie i skutecznie. To co można, staram się przenosić na polski grunt. Na początku chcę uświadomić policjantom ich rolę w społeczeństwie oraz jak ważne jest w codziennym działaniu społeczne zaufanie. Bez tego nie ma bowiem mowy o efektywności naszych działań.

KRZYSZTOF KILIJANEK

ŚWIĘCI – PATRONI POLICJI

2

Pierwszym sztandarem policyjnym zawierającym symbolikę religijną i poświęconym zgodnie z wymogami ceremoniału kościelnego był sztandar gdańskich związkowców-policjantów. Na błękitnym rypsie wyhaftowano Matkę Boską Częstochowską. Symbolu tego wyjaśniać nie potrzeba.

Garść objaśnień przyda się natomiast przy postaci Michała Archanioła, którego z woli Jana Pawła II obrali za swego orędownika krakowscy policjanci. 29 września 1990 roku, w dniu świętych archaniołów: Michała, Gabriela i Rafała, na Wawelu odbyła się uroczystość przekazania KWP sztandaru z wizerunkiem patrona. Proporzec poświęcił metropolita krakowski, kardynał Franciszek Macharski.

O. Hugo Harver w „Żywotach Świętych Pańskich" wyjaśnia, iż aniołowie są bezcielesnymi duchami obdarzonymi wysoką inteligencją, siłą woli i niezwykłą świętością. Nieustannie obcują ze stwórcą, oddani jego kontemplacji, miłości i chwale. Bóg czyni ich niekiedy swymi posłańcami do ludzi.

W starym Testamencie opisywano św. Michała jako głównego przywódcę sił niebiańskich, które odniosły triumf nad mocami piekielnymi. Zaliczano go do czworga najpotężniejszych duchów, opiekuna narodu izraelskiego. Chrześcijaństwo przyjęło Archanioła Michała jako swego świętego, anioła sprawiedliwości, zlitowania i łaski, ducha opiekuńczego, włodarza kluczy do nieba. Od czasów apostolskich Kościół rzymsko-katolicki okazuje mu ogromną cześć, wzywając do wszelkiej pomocy i obrony. Ojcowie Kościoła wschodniego wynoszą go ponad inne anioły zowiąc „Księciem Serafinów". Należną pozycję zdobył także w tradycji religijnej islamu.

Od średniowiecza św. Michał Archanioł uważany jest za czołowego patrona rycerzy, a także złotników i rytowników. Ikonografowie przedstawiają go jako rosłego, uskrzydlonego młodzieńca o pięknym, dostojnym obliczu, odzianego w białą szatę lub zbroję, zbrojnego we włócznię i tarczę do starć z Lewiatanem. Na obrazach wyobrażających sceny Sądu Ostatecznego dzierży w dłoniach szale, na których waży dusze zmartwychwstałych oraz ich dobre i złe uczynki.

Policjanci z KWP w Nowym Sączu wybrali sobie za patrona św. Sewera. Hagiografia katolicka — jak podaje ks. Wincenty Zalewski w: „Święci na każdy dzień" — zna 17 świętych Seweryнów, 23 Sewerów i 8 Sewerianów. Henryk Fros i Franciszek Sowa w pracy „Twoje imię" twierdzą, iż „Martyrologium Romanum" wymienia 13 świętych o imieniu Sewer, a „Bibliotheca Sanctorum" — ponad 20.

Spośród nich jako pretendent do tytułu opiekuna Policji wchodzi w grę jedynie Sewer z Rawenny, najmniej znany, żyjący prawdopodobnie w IV wieku. Brak wiadomości o świętym w rocznikach historycznych wypełniła legenda. Według niej był tkaczem. Gdy w dzień Zesłania Ducha Świętego obierano raweńskiego biskupa, nad Sewerem zawisł gołąb, nieomylny znak cudownego desygnowania kandydata. Stało się, jak zrządziła opatrzność.

Rzekome szczątki Sewera, jego żony Wincencji i córki Innocencji wykradł w IX wieku jakiś nie znany bliżej kleryk Feliks z Galii i przeniósł je do Moguncji i Erfurtu, co zresztą przyczyniło się do rozprzestrzenienia kultu świętego. W średniowieczu św. Sewer uważany był za patrona tkaczy, sukienników i straży miejskich. Z tego względu uznanie go za patrona współczesnych policjantów oznacza nawiązanie wprost do tradycji.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. H. Mucha

Z HISTORII DEMONOLOGII

We współczesnym świecie problem wiary w diabła i piekło jest często przedmiotem zainteresowań wielu środowisk. Np. największy autorytet w tym zakresie, doradca Jana Pawła II, kardynał Joseph Ratzinger — prefekt Świętej Kongregacji ds. Doktryny Wiary stwierdził w 1985 r., że we współczesnym stechnizowanym i zlaicyzowanym świecie diabeł to „obecność tajemnicza, lecz realna, cielesna, a nie symboliczna" przede wszystkim ze względu na cechy osobowościowe.

Według Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN diabeł (z języka greckiego „diablos" — „oszczerca", „przeciwnik") to „szatan, zły duch, kusiciel, w judaizmie i chrześcijaństwie upadły anioł, skazany przez Boga na wieczne potępienie i strącony do piekieł; usiłuje on nakłaniać ludzi do przeciwstawiania się nakazom bożym".

Każda kultura i religia ma swojego diabła, który ma swoiste nazwy i odpowiednie postaci. Zawsze Bóg walczy z diabłem — czyli Dobro zwycięża Zło.

Imię Szatana pojawia się dopiero w Księdze Hioba, kiedy zdaje relację Bogu (być może jako pierwszy donosiciel) z przechadzki po ziemi. Szatan z antagonisty człowieka w judaizmie, staje się przeciwnikiem Boga, a raczej Chrystusa w chrześcijaństwie. Często Szatan nazywa się Antychrystem. Warto pamiętać, że za Antychrystów uważano m.in.: Kaligulę, Nerona, Mahometa, Fryderyka II, Napoleona i Hitlera.

Szatan w starożytności i średniowieczu znany był pod wieloma imionami. Przykładowo: **Asmodeusz**, znany w Talmudzie jako „król szatanów", występuje m.in. w Biblii; **Belfegor**, czyli „bałwan Fegor", opisany w wielu utworach literackich, np. „Arcydiabeł Belfegor" Makiawela, „Pani Twardowska" Mickiewicza oraz „Jak baba diabła wyonacyła" Tetmajera; **Belial** — uosobienie bezprawia i zła, książę piekieł i ciemności wielokrotnie wymieniany w Biblii; **Belzebub**, czyli „władca much", częsty gość w Biblii; **Lucyfer**, czyli „niosący światło", opisany m.in. w „Panu Tadeuszu" Mickiewicza; **Mefistofeles** — jeden z 7 diabłów głównych, najbardziej znany z „Fausta" Goethego.

Zarówno starodawna, jak i współczesna demonologia oraz czarna magia mają obszerną literaturę. Szczególnie atrakcyjna jest postać diabła, którego opisano w literaturze faktu, legendach, baśniach, powieściach, a także w poezji i malarstwie.

W wierzeniach ludowych szatan przybierał różne postacie: węża, smoka lub rogatego kozła. Największe wrażenie jednak czynił diabeł z rogami, ogonem, kopytami i widłami. Tak przedstawiano go na rycinach i rzeźbach ludowych.

Radykalna zmiana nastąpiła w 1486 roku, kiedy to dwaj dominikanie J. Sprenger i H. Kramer napisali książkę pt. „Młot na czarownice". Od tego bowiem czasu szatan — jako abstrakcyjny symbol zła, zaczął przybierać postać kobiety. W okresie 300 lat, tj. od końca XV do końca XVIII wieku Święta Inkwizycja kierowana przez zakon dominikanów doprowadziła do wymordowania (według różnych szacunków) od kilkuset tysięcy do 9 milionów kobiet.

W okresie Romantyzmu postać diabła ponownie zmieniła się. Znawcy przedmiotu uzasadniają to nowym spojrzeniem na człowieka w tym okresie. Człowiek Romantyzmu był zbuntowanym grzesznikiem, zatem szukał swego ideału w zbuntowanym Archaniele.

Demonologia XVI-wieczna twierdziła, że na świecie działało już 6666 legionów szatańskich, a każdy legion składał się z 6666 demonów. Było to zatem już całe „piekielne imperium", którego najwyższym zwierzchnikiem był Lucyfer — cesarz.

W. Kopaliński w „Słowniku mitów i tradycji kultury" określa satanizm jako kult Szatana, relikt pogańskich kultów płodności, aktywny w niektórych krajach chrześcijańskich w XI—XIII wieku, jako reakcja przeciw wszechwładzy Kościoła. Prawdopodobnie z tego okresu także pochodzą legendy o sabatach czarownic.

Właśnie z ich tradycji w połowie XVII wieku wyłoniła się „czarna msza". Była ona odwrotnością mszy białej, katolickiej. Czerń była kolorem symbolicznym, gdyż czczono czarne siły reprezentujące czarną magię.

Jak literat z policjantem

ZEZNANIE

Nękany od kilku miesięcy przez Wasz aparat represji stwierdzam, że nic się nie zmieniło w tym kraju zwanym postkomunistycznym (nawet na takie miano nie zasługuje). Do takiego wniosku doszedłem jako pisarz polski, autor trzydziestu książek, w stosunku do którego posyła się i stosuje środki urągające cywilizowanym systemom, gdybym nie był badaczem totalitaryzmu, nie zniósłbym tego.

Nim przejdziemy do kolejnych cytatów oświećmy naszego Czytelnika, w jakiż to sposób kryptokomuniści i bandyci w policyjnych mundurach dopiekli prawemu Polakowi i autorowi trzydziestu książek. Otóż latorośl Pana literata związała się z grupą narkomanów. Pewnego dnia młodzi ludzie dokonali napadu na mieszkanie chłopaka, o którym wiedziano, że dysponuje większą gotówką. Kiedy napastnicy wdarli się do środka, pobili właściciela mieszkania wystarczająco mocno, tak że ten trafił w stanie ciężkim do najbliższego szpitala. Swój udział w napadzie córka pana literata dokładnie opisała, co przesłuchujący ją funkcjonariusz skrupulatnie zanotował. Na koniec panna protokół podpisała, stwierdzając tym samym, że słowa jej zostały zapisane wiernie i bez zafałszowań.

Pan literat, którego córkę tak strasznie skrzywdzono, jest przekonany, że tekst podpisała tylko dzięki

Młodzieżowe podkultury

SATANIŚCI

JERZY W. WÓJCIK

Ciemna noc, czarny strój — wszystko zgodne z założeniami antymszy. Ceremonia zaczynała się od wyboru Królowej Sabatu spośród najmłodszych czarownic, będących dziewicami. Nagie ciało dziewicy to ołtarz, na którym diabeł odbierał składaną mu ofiarę.

Inny fragment „czarnej mszy" to spowiedź polegająca na wymienianiu złych uczynków. Była to oczywiście parodia spowiedzi katolickiej, a więc antyspowiedź. Nagradzane były tylko złe uczynki, za dobre karano.

W czasie „czarnej mszy" odmawiano także dziesięć przykazań diabelskich, czyli antyprzykazań, a następnie udzielano szatańskich sakramentów. Hostia była zrobiona z czarnej rzepy, skóry lub drewna, koloru czarnego, twarda i trudna do przełknięcia. Zamiast wina podawano napój z gorzkich ziół, pająków, jaszczurek lub żab.

W czasie „czarnej mszy" dokonywano także aktów chrztu. Chrzest polegał na pomazaniu spermą. Epidemia czarnej mszy narastała od XV do XVIII wieku, a od ludu dotarła aż do królewskiego dworu. Z początkiem naszego wieku opinią buntowniczego satanisty cieszył się Stanisław Przybyszewski, który podjął walkę ze wszystkimi formami zniewolenia człowieka. Dużym zainteresowaniem cieszyły się jego utwory: powieść „Dzieci szatana" oraz rozprawa filozoficzna „Synagoga Szatana". Natomiast Tadeusz Miciński napisał apokaliptyczną powieść satanistyczną pt. „Xsiądz Faust".

MUZYKA HEAVYMETALOWA A SATANIŚCI

Dżinsowe lub czarne skórzane kurtki, dżinsowe spodnie z licznymi naszytymi łatkami i kamizelki z naszytymi lub wpiętymi nazwami i emblematami ulubionych zespołów, długie blond włosy oraz ozdoby w postaci wisiorków, pasów i rękawic nabijanych ćwiekami — oto typowa sylwetka fana muzyki heavymetalowej.

Przed koncertami swoich ulubionych zespołów heavymetalowcy tworzą większe grupy i przechadzają się przed budynkiem. Kilku młodych ludzi inicjuje okrzyki „heavy metal" lub nazwę ulubionego zespołu. Okrzyki te skanduje reszta grupy. W czasie koncertu żywo reagują na rytm granych utworów.

Podobne zachowanie cechuje satanistów, fanów muzyki black-metal, devil-metal, trash-metal, itp., którzy wymachują pięściami ułożonymi tak, że mały i wskazujący palec imitują rogi diabła.

Heavymetalowcy nie posiadają ideologii. Twierdzą, że najważniejszym źródłem ich przeżyć emocjonalnych jest muzyka w wykonaniu ulubionych zespołów. Niektórzy zachodni publicyści twierdzą, że barierę od okultyzmu do satanizmu pierwsi przekroczyli Beatlesi w 1968 r. w nagraniu płytowym „Double White Album", przekazując do podświadomości słuchaczy „ewangelię szatana".

Wspomniany przekaz nie zawsze jest słyszalny w normalnym odtwarzaniu płyty. Przykładowo, w jednym z utworów Beatlesów przy odtwarzaniu odwrotnym słychać wyraźnie słowa „Podekscytuj mnie seksualnie martwy człowieku" — będące aluzją do Chrystusa. Także w odwrotnym odtwarzaniu nagrań innych zespołów są np. takie treści: zacznij palić marihuanę, szatan jest Bogiem, mój słodki Szatanie, itd.

W treściach tych przekazywane są elementy, które kilku autorów odczytało jako ideologię satanizmu, np. wolny seks, kazirodztwo, narkomania wszelkie zło i agresja.

Działalność niektórych muzyków znalazła się na indeksie. Będący na indeksie, a znani w Polsce, to np. Mick Jagger, (mający pseudonim Lucyfer rocka), Black Sabbath, Dead Kennedys, The Cure, Madonna i Michael Jackson.

Znawcy muzyki młodzieżowej twierdzą, że wiele nowo powstałych zachodnich zespołów heavymetalowych identyfikowało się z satanizmem. Powstały zatem zespoły i utwory satanistyczne, np. ACDC — śpiewa „Dzwony piekielne", Queen — „Zabójcy", KISS — „Noże w ręku szatana" oraz najbardziej popularny w Polsce WASP. To właśnie WASP rozpoczął na scenie ceremonie satanistyczne z dymem, ogniem oraz piciem krwi z winem (zresztą z czaszki ludzkiej), jedzenie surowego mięsa i torturowanie dziewczyn.

Teksty niektórych piosenek są wręcz szokujące, np. zespół Dead Kennedys w „Zabijaniu dzieci" śpiewa: „Bóg powiedział, aby cię obedrzeć ze skóry na żywo. Ja zabijam dzieci. Kocham patrzeć, jak umierają. Zabijam dzieci i patrzę, jak ich matki krzyczą z bólu".

Amerykańska prasa doniosła swego czasu, że popularyzacja ideologii satanistów, m.in. poprzez przekaz do podświadomości, spowodowała falę samobójstw młodych ludzi (od 14 do 20 lat) w USA. W pozostawionych listach desperaci pisali o tym, że zostali zahipnotyzowani muzyką, nie byli w stanie nic robić i o niczym myśleć, ich celem stało się samobójstwo, gdyż życie nie ma sensu, a zabić się to prawdziwy szpan.

Wygląd, muzyczne zamiłowania oraz brak ideologii w zasadzie stawiały metalowców w ostatnich latach w rzędzie dość spokojnych ugrupowań młodzieżowych. Zadymy przed salami koncertowymi przypisywane są najczęściej skinom, punkom i chuliganom. Jednakże na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych socjolodzy i kryminolodzy musieli zmienić zdanie. Nasilają się bowiem różnego rodzaju utarczki pomiędzy fanami poszczególnych zespołów heavymetalowych, narasta także agresywne i chuligańskie zachowanie członków tej podkultury. Z aktualnego rozpoznania tej podkultury wynika, że narastają także „zadymy" pomiędzy samymi metalowcami, fanami różnych zespołów.

Charakterystyczny jest także wzrost antagonizmów między skinheadami a metalowcami. 15 grudnia 1990 roku doprowadziło to do tragedii w Katowicach. Zupełnie przypadkowo spotkało się trzech skinów i trzech metalowców. Skini zdjęli pasy, natomiast jeden z metalowców wyjął nóż własnej konstrukcji. W trakcie bójki śmiertelnie ranny został Tomasz B., lat 17, skinhead. Zmarł przed przyjazdem karetki.

Na pogrzeb Tomka przyszło dwa tysiące osób. A ponieważ odbywał się on w atmosferze odwetu skinów, postawiono w pogotowie Oddział Prewencji Policji. Tego samego dnia odbył się również koncert heavymetalowy w katowickim „Spodku". Wchodzącym na koncert fanom metalu odebrano 18 noży i bagnetów, 6 kastetów oraz 15 innych niebezpiecznych przedmiotów. Właściciele tych rzeczy twierdzili, że zabrali je dla obrony własnej, gdyż skini planują odwet za śmierć Tomka. **(cdn.)**

---

hartowi ducha, gdyż wcześniej policyjni goryle wytrwali jej wszystkie paznokcie. Chociaż po co mamy wyręczać w inwektywach polskiego literata, który ma na swoim koncie trzydzieści książek (z pewnością pisanych piękną polszczyzną).

...Na własnej skórze zetknąłem się z troglodycką mentalnością Waszych służb, czemu dałem wyraz, bo moim obowiązkiem jest danie głosowi prawdzie. Nikt mi tego nie odbierze, tylko czołgi... i gips w ustach, a od tego chwilowo odeszliście.

Owym świadectwem prawdy, uzupełnijmy, był tekst opublikowany w tygodniku „Opinia". Przytoczmy ciekawszy fragment literacki. Jak wynika z poprzednich akapitów, zrozpaczony ojciec dowiedział się o hańbie córki.

Natychmiast chciał biec na Malczewskiego (siedziba Komendy Rejonowej Policji na warszawskim Mokotowie — dop. P. S.), *żeby odbić ją bandytom, którzy mają na sumieniu śmierć Popiełuszki i Przemyka...* Jasno z cytatu rozumiemy, że pracujący tam siepacze ośmielili się tknąć unurzanymi we krwi łapami niewinną liliję, hańbiąc tym samym jej nieskazitelną biel. Szkoda że sama zainteresowana przyznała, że jej serduszko nie zawsze biło w takt dziesięciu przykazań.

W tym miejscu dygresja. Jak sądzę, łamy „Opinii" zostały wykorzystane w prywatnym interesie pana literata, a to już kłóci się z dobrymi obyczajami zawodu dziennikarskiego. Chociaż, trzydzieści napisanych książek może tu być w pewnym stopniu wytłumaczeniem.

Wróćmy jednak do głównego wątku owej historii, to jest zeznania własnoręcznie napisanego przez polskiego pisarza.

Jako podejrzany o obrażenie funkcjonariuszy na służbie (niższy sort zresztą) mam być przesłuchany w Waszej melinie, jakby nie dość już tego, że właśnie w tym miejscu powiedziałem wyłącznie parę słów prawdy, dotyczącej sposobu rozmawiania ze mną na okoliczność aresztowania córki, gdyby nawet nic się nie zmieniło w działaniu aparatu represji to jakaś przyzwoitość chyba obowiązuje.

Pytaniem retorycznym z pewnością będzie wyrażana wątpliwość, jaka przyzwoitość obowiązuje pisarza polskiego. Wyrazy, których użył w stosunku do prowadzących śledztwo funkcjonariuszy dalekie były od delikatnych tonów harfy polskiej, w którą uderzało tak wielu literatów. Cóż, zmieniły się czasy, zmienili się i pisarze. Może z tego właśnie powodu spostponowani funkcjonariusze zamierzają wnieść przeciw Panu literatowi powództwo cywilne o obrazę godności osobistej.

To, że policjant może mieć godność i wcale nie zamierza poświęcać jej na ołtarzu literatury autor trzydziestu książek kwituje jednoznacznie: *W przypadku, gdy w dalszym ciągu Aparat mokotowski (...) trwa przy postanowieniu wytoczenia mi procesu o obrazę jej ludzi i jej samej proszę sprawie nadać bieg. Możliwe, że tylko o to mi chodzi, skoro nie daję się prześledzić bez użycia przymusu bezpośredniego. Oprócz obrony ze strony dyr. z Instytutu Badania Zbrodni Hitlerowskich i Stalinowskich (...) mam przyobiecaną pomoc mec. (...). Może zresztą będę wreszcie sławny przez ten skandaliczny przypadek".*

Czyżby zatem o sławę tylko chodziło?

Sądzę, że zacytowany tekst „Zeznania" powinien stać się przedmiotem ćwiczeń studentów prawa, którzy w przyszłości mogą spotkać się z inną niż w kodeksie jego interpretacją. Pomijam tu kwestię, że studenci polonistyki również powinni sobie na nim poużywać podczas zajęć z gramatyki, słowotwórstwa i innych prawideł, które winny być przestrzegane przez każdego z nas... nawet autora trzydziestu książek. Na koniec dodajmy, że artykuł „Lex vox Dei" w „Opinii", w którym mowa jest o mokotowskich zbrodniarzach, podpisał niejaki pan Zygmunt Trziszka.

PAWEŁ SZLACHETKO

Tu dzieje się najwięcej i nie ma czasu na nudę, każdej doby spływa średnio do „dochodzeniówki" 15 spraw. Spośród 9028 postępowań w całym województwie aż 19 procent wszczęto właśnie tutaj. Policjanci mówią o tym ogromnym obciążeniu, ale w podtekście ich wypowiedzi da się wyczuć, że lubią to tempo, nie usiedzieliby w jakimś sielskim posterunku, że tu łatwiej o zawodową satysfakcję. Uzupełnioną o gratyfikację finansową, na przykład każde ujęcie na gorącym uczynku, to spory zastrzyk gotówki. Opłaca się więc starać, opłaca dzień i noc leżeć w krzakach na zasadzce, gdy trzeba.

Młody narybek uważnie przygląda się starszym i widzi, że niełatwy to chleb, ale robota ciekawa. Stąd też wszyscy ewentualni kandydaci widzieliby siebie w operacyjno-rozpoznawczym. W żadnym innym. A broń Bóg, w mundurze. Tymczasem dobrze na początek byłoby poznać rejon i ludzi, trochę pozdzierać zelówki w służbie patrolowej. Bo dobrym „łapaczem" pierwsze miejsce w sprawach gospodarczych. Wszystko to musi udźwignąć garstka ludzi z podstawowych służb. Samych zatrzymań na gorącym uczynku było: w styczniu 36, w lutym 56, w marcu 50, w kwietniu 31 — a ten spadek wiąże się jednoznacznie z powszechnymi niepokojami środowiska dotyczącymi emerytur. Praca siadła, zaczęły się dyskusje i rozważania — zostać czy odejść. Szkoda, że przyszło to w momencie, kiedy ludzie złapali dobry rytm.

Plusy: wojewódzka dała samochody i trochę sprzętu, dobrze też układa się codzienna współpraca. Dodatkowe kamery wideo, aparaty fotograficzne itp. mają dzięki temu, że na własną rękę znaleźli sponsorów.

Minusy: w grupie 96 funkcjonariuszy w służbie przygotowawczej aż 57 nie ma żadnego przygotowania zawodowego, jedynie dobre chęci. Jest jednak pewne drobne „ale" dotyczące tego punktu, a nastrajające optymistycznie. Otóż nowi to są zarazem młodzi, a młodzi nie mają żadnych oporów i nieufności wobec komputerów czy innego sprzętu, który — choć powoli — to jednak wchodzi do policyjnych jednostek.

ŚWIĄTEK CZY PIĄTEK

Miejsce: Stary Rynek w Poznaniu, czas: 8 maja, dzień biały. Szkolna wycieczka z Piły ogląda fasady zabytkowych kamieniczek, co w pewnym momencie przestaje się podobać 6-osobowej grupie miejscowych. Po kilku zdaniach wstępu na przybyszów spadają ciosy. W taki sposób banda łobuzów wymusiła haracz i czym prędzej znikła z pola widzenia. Poinformowano Policję, już w parę godzin później udało się ująć kilku z szóstki napastników.

Czego to zdarzenie dowodzi? Rozzuchwalenia sprawców? Niedostatku sił i środków do zapewnienia przechodniom poczucia bezpieczeństwa nawet w samym sercu miasta? Efektywności pracy policjantów? Rzecz jasna, wszystkiego po trosze.

Po pierwsze jednak, nie demonizujmy. To, co stało się na Rynku, stanowi odosobniony przypadek, w dodatku ze szczęśliwym finałem. Wkrótce zresztą Stary Rynek z ulicami przyległymi, cały św. Marcin i ul. Półwiejska stanowić będą tak zwaną strefę bezpieczną, gdzie mieszkaniec Poznania oraz turysta będą mogli chodzić spokojnie o każdej porze doby. Potrzeba do tego tylko jednego drobiazgu — ludzi, którzy ten spokój byliby w stanie zapewnić. Zamiast nich są wolne mundurowe etaty.

— Zwarta zabudowa, najwięcej ciągów handlowych, hoteli, całe centrum, plus Winogrady i Piątkowo — wielkie sypialnie, 200 tysięcy osób — tak przedstawia swoje gospodarstwo nadkom. Stanisław Iwański, komendant rejonowy ze Starego Miasta w Poznaniu.

nie zostaje się od razu, na to trzeba lat. A wtedy — jest zgłoszone włamanie, straty ponad sto milionów. Wchodzi policjant, rzuca okiem i już wie, że to sfingowana sprawa, bo kłódki leżą za porządnie, a i bałagan za mały. Nowy straci mnóstwo czasu, zanim się (jeśli w ogóle) zorientuje.

Kadrowca rzadko można spotkać za biurkiem, biega na spotkania z mieszkańcami, do szkół, zakładów pracy, do wojska. Zachęca jak może. Wciąż jednak brakuje 82 policjantów, w tym aż 65 w prewencji — i jak tu się dziwić, że na ulicach nie jest zbyt niebiesko. Sam mundur deprymuje, może kiedy będzie nowy, bardziej funkcjonalny i efektowny?...

Największe zagrożenie, najniższa dynamika przestępczości,

Zawzięli się. Doprowadzili do tego, że przestępczość zmalała, gdyż „usiedli" na parę grup, które — bywało — nie robiły sobie nawet dnia urlopu. Stała obserwacja musiała dać efekty.

Duży problem to nieletni, którzy dokonują około 1/4 wszystkich przestępstw. A że miejsc w ośrodkach brak, to sędzia często tylko pogrozi palcem małolatowi-„recydywiście", który na przykład zrobił 50 „kieszonek" w tym roku, a ma lat jedenaście. Dwaj nieletni wspólnie z dorosłym sterroryzowali w biały dzień właścicielkę sklepu, żądając wydania gotówki. Nastraszyli kobietę rozbitą świetlówką.

Dodajmy, że ujęto ich tego samego dnia. Bo warto powiedzieć o konkretnych sukcesach.

Styczniowy napad na mieszkanie zdarzył się co prawda w innym rejonie i prowadzony był przez wojewódzką, ale tu właśnie zatrzymano jednego ze sprawców, co pozwoliło ująć pozostałych, którzy w kominiarkach wdarli się do domu pewnej starszej osoby.

Jedyne od 1 sierpnia do końca kwietnia zabójstwo wykryte zostało w ciągu trzech dni. Zwłoki niepracującej i prowadzącej „dom otwarty" 40-letniej kobiety znaleźli sąsiedzi. Ciało było

już wtedy w znacznym rozkładzie. Wbrew pierwszym przypuszczeniom sprawcą nie był nikt z szerokiego grona znajomych nieżyjącej, ale przypadkowo poznany mężczyzna, który przyszedł do mieszkania wraz ze swoim 5-letnim dzieckiem. Spało ono w czasie, gdy tatuś uderzył gospodynię domu butelką, a potem udusił poduszką. Zatrzymany został w domu, nie był wcześniej karany.

Starsze małżeństwo z Wildy ledwo przeżyło najście czterech zbirów. Bici i przypalani małżonkowie wydali 50 mln w kosztownościach. Sprawców, pochodzących spoza Poznania, ujęto wraz z łupami — nie zdążyli ich upłynnić. Do tej pory fartownie i dość długo działali wedle zasady — poza swoim terenem.

Siódemka nie zawsze musi być szczęśliwa. Siedmioosobowa grupa przestępcza znalazła się za kratkami po siódmym włamaniu, w tym do szkoły rolniczej, skąd skradziono 12 jednostek broni (kbks i pistolety). Ta sprawa daje okazję, by pochwalić dobrze pracujący komisariat z Piątkowa.

Zatrzymano 4-osobową grupę z Gorzowa, która realizowała sfałszowane recepty na środki odurzające i pobudzające, na łączną kwotę ponad 100 mln złotych.

I wreszcie na zamknięcie listy przykładów piękna sprawa — „pacnięty na gorąco" z przygotowanym do wyniesienia ze sklepu rtv sprzętem wartości 55 mln zł włamywacz, skądinąd sprawca paskudnego zabojstwa, odbywający przerwę w karze dzięki wspaniałomyślności sądu. Gdy policjanci powzięli wiadomość, że przyjemniaczek ten organizuje właśnie grupę przestępczą, usiedli na niej — mówiąc żargonowo — i doprowadzili do wspomnianego finału.

*

Jest więc czy też nie rejon Starego Miasta w Poznaniu miejscem bezpiecznym?

Jeśli ktoś pijany o północy zdąża zakosami do domu przez ciemny park albo w takimż stanie opuszcza restaurację, czyni to w poważnej mierze na własne ryzyko. Nie sposób przed każdym lokalem czy za każdym krzakiem w parku ustawić stały posterunek policyjny. Choć na pewno (jak już była o tym mowa) służb prewencyjnych winno być więcej.

W sytuacji innej niż opisane zdarzył się jeden rozbój w bieżącym roku — jego ofiarą stała się kobieta zdążająca rano do pracy. Tylko jeden i aż jeden (z punktu widzenia pokrzywdzonej).

Policjanci ze „Starówy" — jak mówią poznaniacy — są zdania, że mieszkaniec ich rejonu może się czuć bezpiecznie. Większość brzydkich spraw rzutujących na statystykę to porachunki wewnątrz przestępczego świata. Natomiast obywatel częściej styka się z uciążliwą masówką, typu włamania do samochodów, do piwnic, ostatnio w mniejszym stopniu — do mieszkań. Warto, by we własnym interesie nie kusił losu i zadbał o dobre zamki, zabezpieczenia i alarmy. Niechże się Policja stara, ale dopomóżmy jej. I sobie.

JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

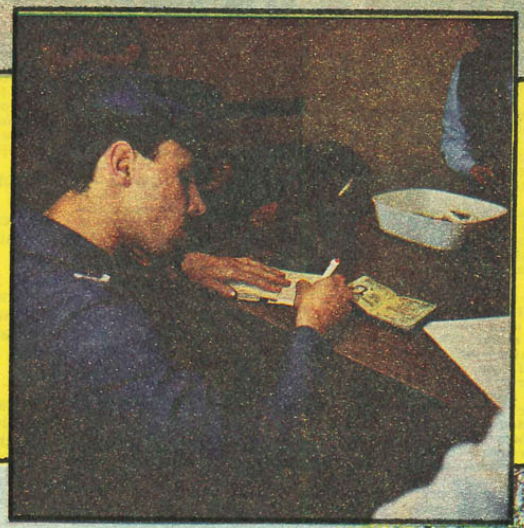

SHERLOCK HOLMES ZMIENIA SKÓRĘ

„Harry popełnił klasyczny błąd — trzymał broń zbyt blisko celu. Pięść Quaida wystrzeliła w górę, znacząc smugą swój lot i łamiąc ramię Harry'ego. Pistolet wypalił w ścianę i sufit.

Ramię Quaida uderzyło w szyję Harry'ego, miażdżąc mu tchawicę. Harry nie zdążył jeszcze upaść z otwartymi ustami, gdy Quaid wykonał obrót i huknął pięścią niczym młotem kowalskim, w serce najbliższego napastnika".

(„Pamięć absolutna" Anthony Piers).

Czy zastanawiali się kiedykolwiek Państwo nad współczesną sylwetką bohatera opowiadań sensacyjnych? Gdzież podziali się wspaniali bohaterowie Conan Doyle'a, Agaty Christie czy Simenona — ich spokój, rozwaga oraz „szkiełko i oko", w które uzbrojeni potrafili rozwikłać najbardziej zawiłą zagadkę kryminalną?

Jak sądzę od lat mamy do czynienia ze zmierzchem klasycznej powieści kryminalnej. Co pod tym pojęciem rozumiem? Jej schemat fabularny można byłoby streścić w kilku punktach. 1) Zawiązanie akcji, kiedy to bohaterowie stykają się z tajemniczą zagadką morderstwa. 2) Poszukiwanie sprawcy, przeważnie opierające się na kojarzeniu pozornie nieistotnych (dla policji) śladów. 3) Rozwiązanie, kiedy to bohater-detektyw wyjaśnia swoim współpracownikom (a zarazem czytelnikowi) sposób, w jaki zagadka została rozwiązana. Epilog, to w większości przypadków wskazanie mordercy, który zostaje przykładnie ukarany za swój czyn.

Klasycznymi przypadkami tego typu powieści były książki napisane przez Doyle'a z nieśmiertelnym Holmesem, kryminały Agaty Christie z Herkulesem Poirot czy rodzimej „produkcji" Joe Alex, którego kolejne przygody mogliśmy śledzić w latach siedemdziesiątych.

Jednym z prekursorów nowej powieści kryminalnej był amerykański pisarz Dashiell Hammett, żyjący w latach 1894—1961. Debiutował w latach trzydziestych kilkoma opowiadaniami, w których złamał obowiązujące żelazne konwencje literatury detektywistycznej. W swojej klasycznej już dziś powieści „Sokół maltański" jego bohater, Samuel Spade, nie ma już nic wspólnego z detektywem-gentelmanem, lecz jest to twardziel zmuszony okolicznościami do działania w równie bezwzględny sposób co przestępcy.

Pisząc o „Sokole maltańskim" Sinda Gregory tak opisała stworzoną przez Hammetta postać („Private Investigations" („Prywatne śledztwo"), Southern Illinois University Press, rok 1985) „... nic nie jest trwałe, żadne wartości nie są absolutne, chyba że są to wartości, które człowiek sam sobie wyznacza jako sposób życia. Można liczyć tylko na siebie samego; z chwilą gdy pozwolimy, by druga osoba na nas wpływała, albo nas kontrolowała, wydajemy się na łaskę sił, nad którymi nie panujemy".

Tak więc bohater powieści detektywistycznej po raz pierwszy stał się realnym człowiekiem z krwi i kości, pozbywając się wydumanej pozy wszechwiedzącego sprawiedliwego.

Następne pokolenie pisarzy powieści sensacyjnych, w których gronie najgłośniejsze nazwiska to: Alistair MacLean, Frederick Forsyth czy np. Ian Fleming, proponują czytelnikom już całkiem coś innego niż tylko mozolne trudzenie się z bohaterem-detektywem nad rozwiązaniem zagadki kryminalnej. Ich powieści, jak określił to jeden z amery-

ciąg dalszy na s. 19

KTO POMOŻE POLICJI ?

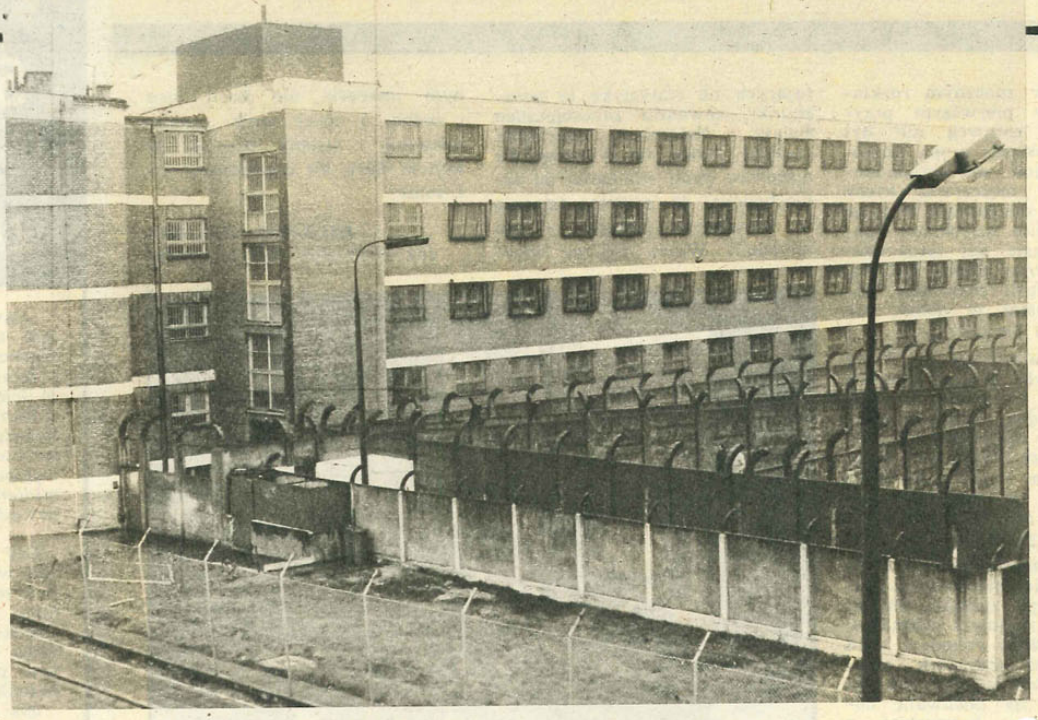

KŁOPOTY KONWOJENTÓW

Wydawałoby się, że dla Policji ujęcie przestępcy to powód do chwały i samozadowolenia. Nic bardziej złudnego. O tym, ile problemów należy pokonać zanim gagatek trafi pod klucz, dowiedziałem się z opowieści krakowskich funkcjonariuszy. Tzw. schody zaczynają się zwłaszcza po zatrzymaniu przedstawicielki płci pięknej. Sęk w tym, iż w województwie krakowskim brakuje obiektu, gdzie można by choćby chwilowo umieszczać sprawczynie przestępstw, wobec których prokurator zarządził tymczasowe aresztowanie. Areszt żeński w Myślenicach zlikwidowano ze względów ekonomicznych, gdyż 9...10 osadzonych pań obsługiwał 47-osobowy personel. W zamian zapowiadano utworzenie oddziału kobiecego w krakowskim Areszcie Śledczym, lecz jak dotąd nic nie rokuje rychłego spełnienia obietnicy. Na „Montelupich" żadnej „baby" nie chcą widzieć i basta. Jedynie obłożnie chore mają szanse znalezienia się w więziennym szpitalu. Zdrowe są transportowane do Kielc — w jedną stronę 100 kilometrów.

Pół biedy, gdy na tym kończy się rola krakowskiej Policji. Gorzej, gdy wozy konwojówki kilka razy przemierzają trasę Kraków—Kielce z tą samą osobą, ponieważ wymaga tego dobro postępowania przygotowawczego. Oto typowy przykład. Na ulicy Krakusa zamordowano panią D. Zabójcą okazał się członek bandy, która w mundurach żołnierzy radzieckich napadała na podróżujących po autostradzie w okolicy Legnicy. Skok nadała mu krewna denatki. Legnicki prokurator, by przeprowadzić z dziewczyną eksperyment śledczy, musiałby osadzić ją w kieleckim areszcie, pofatygować się osobiście do Krakowa, jechać po nią do Kielc, przywieźć na miejsce zbrodni, a po wizji odwieźć z powrotem. Słowem: pięć razy przemierzyć stukilometrowy dystans, modląc się, by zdążyć przed zamknięciem bram aresztu. Na szczęście, akurat w tym przypadku naczelnik AS w Krakowie zgodził się wyjątkowo na przyjęcie podejrzanej.

Niegdyś bywało inaczej. Artykuł 209 k.k.w. postanowił, iż „do czasu stworzenia wystarczającej liczby aresztów śledczych wyposażonych w niezbędną liczbę pomieszczeń do przesłuchania, jak również w razie trudności wynikających z konieczności transportowania w celu dokonania przesłuchań, prokurator prowadzący albo nadzorujący śledztwo lub dochodzenie może zarządzić osadzenie tymczasowo aresztowanego, na czas nie przekraczający 3 miesięcy, w areszcie policyjnym". Latem 1990 roku wymieniony przepis stracił racje bytu. Odtąd do umieszczania osób tymczasowo aresztowanych i skazanych służą wyłącznie areszty, które tworzy i likwiduje Ministerstwo Sprawiedliwości.

Ale przyjęcia w aresztach odbywają się w dni powszednie od godziny 8.00 do 15.00, a w soboty od 8.00 do 12.00. Wprawdzie mogą następować i w innych godzinach, ale tylko po uprzednim zawiadomieniu naczelnika jednostki.

Autorom tego zarządzenia do głowy nie przyszło, by przejmować się sytuacjami, które zdarzają się poza wyznaczonymi przedziałami czasu. Tymi martwić się miała Policja i rzeczywiście martwi się nieustannie. Kłopocze się, jak postąpić, gdy wieczorem dopadnie łobuza ściganego listem gończym albo skazanego, poszukiwanego do odbycia kary. Gryzie się policjant, który w świąteczne popołudnie trafi na uciekiniera z więzienia, bo cóż ma z nim uczynić? Zamknąć w areszcie policyjnym?... Broń Boże!... Najlepiej zabrać bandziora do domu, przenocować, a o świcie odprowadzić ciupasem do aresztu śledczego. Zdarzyło się kiedyś, że gdy po prokuratorskiej „sankcji", Monte — jak mawiają Krakusy — odmówiło przygarnięcia delikwenta, nieborak przesiedział noc na stołku przy pulpicie dyżurnego.

— Na wspólnych naradach sugerowaliśmy kierownictwu AS, by wyznaczyło ze dwie cele do doraźnego przetrzymywania osób aresztowanych — mówi nadkomisarz Władysław Jaglarz, naczelnik WDŚ KWP. — Zobowiązywaliśmy się do dostarczenia kompletu dokumentów, zdjęć sygnalitycznych, wywiadu i karty daktyloskopijnej oraz opinii z pogotowia, że człowiek może przebywać w areszcie. Myśleliśmy, niestety naiwnie, iż to jedynie kwestia organizacyjna, bo jakiż problem dać dowiezionemu pajdę chleba z margaryną i kubek zbożowej kawy, a rano, po podjęciu pracy przez administrację dopełnić formalności. Odpowiedziano nam, że są bariery natury proceduralnej. Kolejny raz przepisy okazały się ważniejsze niż sprawy ludzkie, a wewnętrzne regulaminy silniejsze od ustawy.

— Byłbym niesprawiedliwy — przekonuje nadkomisarz — gdybym stwierdził, iż nie znajduję zrozumienia i pomocy u naczelnika aresztu. Nieba by przychylił, ale na razie poza pewnym wydłużeniem czasu przyjęć nie może nic zmienić. Paraliżuje go sztywny gorset zarządzeń tyczących rejestracji, badań lekarskich, aprowizacji. Niekiedy wraz z nim, szefem rozmieszczenia ZK i prokuratorem wojewódzkim znajdujemy wyjście z trudnego położenia, lecz zabiera to czas i energię. W sprawach grupowych, gdy pojawia się konieczność przeprowadzenia czynności procesowych z udziałem wielu podejrzanych tymczasowo aresztowanych, w kilku województwach i trwających na domiar złego parę dni z rzędu, trzeba rozwiązywać prawdziwą łamigłówkę, wykonać dziesiątki telefonów, zabiegów, uzgodnień z przełożonymi aresztów, prosić, by się zlitowali, przyjęli podejrzanych poza godzinami urzędowania administracji.

Najczęściej idą nam na rękę. Ale czy to powinno zależeć wyłącznie od ich woli, dobrego albo złego humoru, widzimisię? Zdarzają się przecież rozmaite sytuacje. Zwyczajne przedstawianie zarzutów i przesłuchanie podejrzanego może trwać dłużej, niż zakładaliśmy. Prokurator może zastosować środek zapobiegawczy albo i nie. Policjant nie jest w stanie tego przewidzieć i uprzedzić służb AS. Gdyby było inaczej, to on, a nie prokurator, decydowałby o losach człowieka, o jego uwolnieniu lub aresztowaniu. Bywa, iż funkcjonariusz jest pewny „sankcji" dla zatrzymanego, a prokurator postanawia, że odpowie on z wolnej stopy. A bywa też, że długo namyśla się nad ostateczną decyzją i podejmuje ją po godzinie 15.00. Dlaczego wtedy Policja musi zabiegać o przyjęcie aresztowanego do aresztu, a nie dogadują się prokurator i naczelnik aresztu, przedstawiciele tego samego obecnie resortu?...

Zdarza się również, że mimo wcześniejszych ustaleń konwój „rozbija się" o mury aresztu. Strażnik przy bramie pokazuje, kto naprawdę tu rządzi. On „wie, co do niego należy", więc żądania Policji ma po prostu w nosie. Pozorami służbistości maskuje pospolitą złośliwość. Niedawno funkcjonariusze krakowskiej „konwojówki" dostarczyli do Kielc kobietę. Ponieważ dobrze wiedzieli, że po południu w żadnym ZK doktora się nie uświadczy, przezornie zaopatrzyli ją w świadectwo zdrowia. Dyżurnemu aresztu nie spodobała się pieczątka. Pół dnia policjanci jeździli po obcym mieście, szukając dyżurującego lekarza.

O kołomyi przy zatrzymaniu człowieka cierpiącego na jakieś chroniczne schorzenie, lepiej nie wspominać. Konieczne są prześwietlenia, testy EKG, EEG, cuda. A to łobuz choruje na cukrzycę, to na padaczkę, to na astmę. Przez lata przypadłości te nie przeszkadzały mu w pijaństwie, rozróbach i złodziejstwie, teraz stają się pretekstem żądań wyjątkowego traktowania.

Odrębny problem: jak traktować osobę poszukiwaną listem gończym? Departament Prawny Ministerstwa Sprawiedliwości stoi na stanowisku, że identycznie jak osobę tymczasowo aresztowaną, czyli dostarczyć ją do aresztu śledczego. I znów zasadne staje się pytanie: jak to uczynić po godzinie 15.00?

— W sobotę — mówi podkomisarz Andrzej Gaczorek, dowódca Kompanii Konwojowo-Ochronnej KWP w Krakowie — nagłowiliśmy się, co zrobić z kobietą ściganą listem gończym Prokuratury Rejonowej w Będzinie, a mieszkającą w Wejherowie. KRP w Wejherowie, jako jednostka prowadząca poszukiwania (ze względu na właściwość miejscową), żądała, by ujętą dostarczyć do nich po to tylko, by stamtąd przekonwojować ją na Śląsk. Zamiast wojażować bez sensu po Polsce wybraliśmy odmienny wariant. Udaliśmy się do Będzina, odnaleźliśmy funkcjonariusza prowadzącego dochodzenie, pojechaliśmy z nim i ową damą do tamtejszego prokuratora, który wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Tyle mozołu. A przecież wystarczyłoby uznać, że poszukiwany listem gończym nie jest tymczasowo aresztowanym w zrozumieniu art. 83 k.k.w., lecz jedynie zatrzymanym. Wtedy obowiązywałaby nas dyspozycja: ująć i doprowadzić do najbliższego prokuratora rejonowego.

Nadkomisarz Jaglarz zwraca uwagę na jeszcze jedną niedogodność wynikającą z likwidacji art. 209 k.k.w. — Pytałem poważne prawnicze autorytety — twierdzi — jak zapewnić praworządność postępowania Policji, gdy obowiązuje zakaz osadzenia tymczasowo aresztowanych i skazanych w aresztach policyjnych, a regulaminy aresztu śledczego uniemożliwiają ich przyjęcie? Odparli, iż jest to problem organizacyjno-techniczny, z czym nie mogę się zgodzić. Tam gdzie w grę wchodzi ograniczenie stosowania ustawy, nie wolno trywializować zagadnienia.

I jeszcze jedno. Znane są naciski środowisk opiniotwórczych na przyśpieszanie postępowań przygotowawczych, gdy sprawcy są tymczasowo aresztowani. Powszechnie obwinia się Policję za przewlekłe prowadzenie czynności dochodzeniowo-śledczych. Tymczasem należałoby sprawdzić, ilu tymczasowo aresztowanych siedzi w okresie prowadzenia postępowania przygotowawczego przez Policję, ilu po wniesieniu aktu oskarżenia, a ilu wreszcie do momentu uprawomocnienia w ciągu 6 miesięcy, natomiast ludzie cierpią dalej wskutek niemrawości wymiaru sprawiedliwości. Są wyraźne tendencje, by skrócić ustawowy czas zatrzymania osób przez Policję, czas, w których ciążą na niej liczne i skomplikowane powinności, decydujące często o powodzeniu całego postępowania przygotowawczego. Natomiast przewody sądowe z udziałem tymczasowo aresztowanych ciągną się w nieskończoność. (Na marginesie: wg prawa niemieckiego przerwy między rozprawami nie mogą trwać dłużej niż 10 dni).

Zasygnalizowawszy kłopoty Policji w omawianej dziedzinie, pragnę zadać jeszcze parę pytań, których nie można uniknąć. Na przykład to, dlaczego na sądowej ławie oskarżonych nie może siedzieć strażnik więzienny tylko policjant? Dlaczego konwoje aresztowanych musi wykonywać Policja, a nie wyspecjalizowane służby konwojowe aresztów śledczych? Przecież dla sądu to terytorium Ministerstwa Sprawiedliwości, areszt śledczy — również. Niechby i przewozy osób między tymi instytucjami także oddać w gestię tegoż resortu. Po cóż angażować do tego policjantów? W końcu ci młodzi, silni, sprawni mężczyźni chętnie poganialiby radiowozami za złodziejami, zamiast kręcić się od jednego aresztu do drugiego, widząc jak z wymysłu gryzipiórków marnotrawiony jest ich czas i nerwy, a służbowe pojazdy połykają hektolitry paliwa. Ileż rezerw można by tym sposobem uwolnić, spełniając postulaty społeczeństwa, które chce widzieć mundur w najbliższym otoczeniu.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

PIRACI BUKINIŚCI

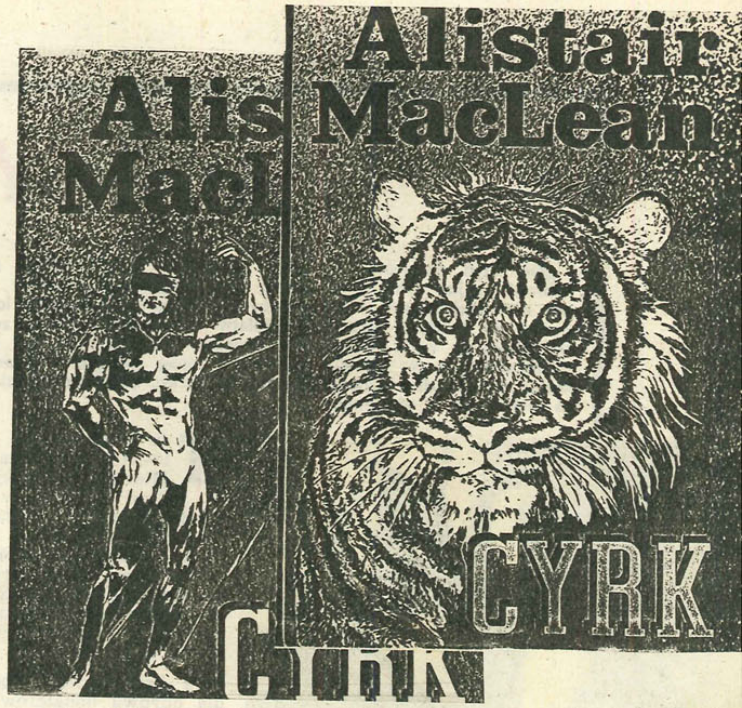

Pisałem już o piractwie satelitarnym, komputerowym i fonograficznym. W najbliższym numerze specjalnym „MK 997" przedstawię szczegółowo problemy z wideopiractwem i proceder wytwarzania pirackich kaset wideo. Ale o ile w tych dziedzinach pojawiają się jaskółki prawne dające możliwość ścigania sprawców przestępstwa z urzędu (vide ustawa o kinematografii przewidująca między innymi karę 1 roku pozbawienia wolności), o tyle w ochronie praw autorów wydań książkowych panuje całkowite bezhołowie. Błyskawicznie wykorzystują to rekiny przestępczego świata, jakby na ironię mieniący się mecenasami sztuki, występujący w telewizji jako wzorcowi biznesmeni. W tej naszej „prawdziwej" Europie, do której tak mocno przemy, za takie numery ten biznesmen w przytułku dla bezdomnych pilnowałby, aby komornik nie zajął mu ostatniej pary spodni. I wszystko wskazuje na to, że jeżeli dalej będziemy chcieli tak kiwać Zachód, to on nam zrobi kuku, bo co, jak co, ale ochrona własności prywatnej, w tym praw autorskich, jest tam świętością.

Nie tylko cudzoziemcy widzą, że jak grzyby po deszczu w większości przejść podziemnych, na dworcach, przy ruchliwych traktach pieszych, a szczególnie przed księgarniami (szczyt bezczelności, a właściwie kpiny z prawa i prawodawstwa) rozstawiane są różnorodne kramy z książkami. Dominuje literatura sensacyjna z Alistairem MacLeanem i Kenem Follettem na czele. Co przykuwa uwagę, to duża ilość wydań broszurowych wykonanych w prymitywnej technice powielaczowej. Wydają to różne niby kluby miłośników literatury sensacyjnej czy fantastyki, a jest to zwyczajna kradzież praw autorskich i oszustwo skarbowe.

Ostatnio taką ofiarą padł sam mistrz intrygi Alistair MacLean. Opiszę szczegółowo ten przypadek, bo jest on wręcz klasycznym przykładem piractwa książkowego. Otóż legalnie działające uczciwe wydawnictwo GiG podpisało w roku ubiegłym z firmą William Collins and CO z Londynu porozumienie (za ciężkie pieniądze) na wyłączność do wydawania w Polsce książki Alistaira MacLeana pt. „Cyrk". Powstała ona 30 lat temu i zawiera wyobrażenia autora o życiu za żelazną kurtyną. Mimo upływu lat jest to nadal interesująca lektura przez osławioną sprawność autora w konstruowaniu sensacyjnej intrygi i zaskakujących finałów. GiG rzetelnie przygotował się do wydania „Cyrku" w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy i poinformował o tym Izbę Skarbową. Okładkę zaprojektował znany grafik Antoni Chodorowski, a zamówienie na druk przyjęła solidna oficyna jaką jest Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca w Krakowie i druk ruszył pełną parą.

W trakcie druku do szefa GiG dotarła informacja, że „Cyrk" jest drukowany równolegle przez spółkę „Mitel" z Gdyni, której właścicielem jest małżeństwo Małgorzata i Roman Z. Wydawnictwu GiG udało się przechwycić fakturę wystawioną przez „Mitel", w której wyraźnie figuruje pozycja „Cyrk" Alistaira MacLeana pod 12 i pół tysiąca za sztukę i dotyczy dwóch tysięcy egzemplarzy. Jasne stało się, że spółka „Mitel" dokonała pospolitej kradzieży praw autorskich, oszukując przy okazji Skarb Państwa. GiG wobec nasycenia rynku nielegalnym wydaniem „Cyrku" musiał zmniejszyć nakład o 100 tysięcy, tracąc spodziewany zysk w wysokości około 300 mln zł i nie odprowadził w związku z tym do Skarbu Państwa 200 mln.

Te 300 mln to strata GiG, ale 200 mln zł, które nie wpłynęły do dziurawego budżetu, to też moja strata i każdego obywatela, i logiczne jest, że jeżeli traci państwo, to ono powinno ścigać przestępców. Nic z tych rzeczy. Zawiadomiona Prokuratura Rejonowa Warszawa-Śródmieście odmówiła wszczęcia postępowania przygotowawczego, bo jakoby „nie udało się ustalić wydawcy przedmiotowej książki", sugerując dalej, że jest to czyn ścigany z oskarżenia prywatnego, co jest chyba jawną kpiną z prawa w wykonaniu prokuratury. Wydawnictwo GiG wobec tego wystąpiło do Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku z pozwem o odszkodowanie od spółki „Mitel". Na pierwszą sprawę małżeństwo Małgorzata i Roman Z. dostarczyli kopie umów z mieszkanką Kielc mającą jakoby pełnomocnictwo od spadkobierców Alistaira MacLeana. Agenci GiG sprawdzili, że zarówno dama z Kielc, jak i spadkobiercy wymienieni w umowie są fikcyjni. I teraz wreszcie spółką „Mitel" zajął się prokurator (za przedstawianie sądowi fałszywych dowodów).

Poinformowana o całej aferze Izba Skarbowa nie kiwnęła nawet palcem, a dyrektor Departamentu Książki Ministerstwa Kultury i Sztuki odpowiedziała, cyt.: „Nie mamy żadnych możliwości prawnych, aby interweniować w powyższej sprawie" grzmiąc na „dziki" rynek wydawniczy.

Na tle tej sprawy nasuwa się jeszcze jedna smutna refleksja. Nasz parlament noce i dnie spędzał dyskutując nad tematami zastępczymi, a sprawy istotne dla bytu narodowego leżą odłogiem. Opracowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki projekt ustawy „prawo autorskie" spoczywa nie tknięty w jakiejś podkomisji. Brak uregulowań w tej dziedzinie powoduje, że dziura w budżecie rośnie, a zarabiają oszuści i łajdacy. Więdnie też prawo.

ZYGMUNT PODHORODECKI

NIE CZYŃ DRUGIEMU

„Nie czyń drugiemu, co tobie niemile" – mówi stare przysłowie i brzmi to jak ostrzeżenie. Gdyby przestrzegali owej zasady bohaterowie niniejszej historii, nie doszłoby do tragedii. Przewrotny los spowodował, że każdy z nich był najpierw cwaniaczkiem, który zaatakował słabszego, po czym jeszcze tego samego wieczoru sam stał się ofiarą zaatakowaną przez silniejszego. Na naukę płynącą z takiego przebiegu zdarzeń dla jednego jest już za późno, drugi zaś będzie miał za to wiele czasu w więzieniu.

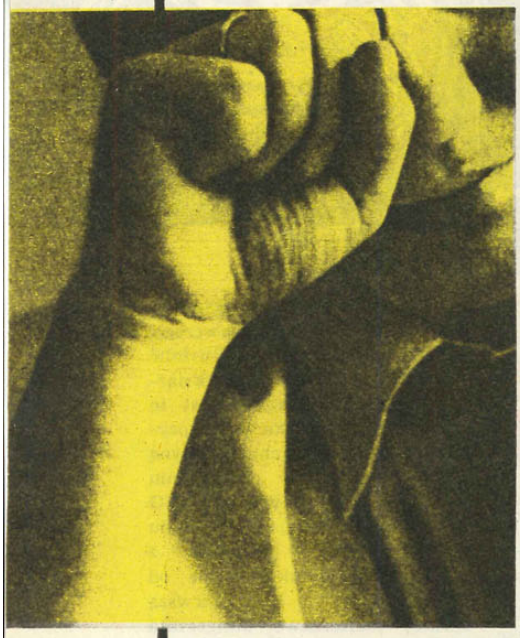

Ten pierwszy, to Artur — 17-letni uczeń zawodówki. Mieszka w dużym słupskim osiedlu, w którym młodzi ludzie, nie mając innych propozycji spędzenia wolnego czasu, najczęściej wybierają picie, a potem chodzą grupami po osiedlu szukając przygód. Bohater drugi — to Zbigniew, mężczyzna po trzydziestce, ojciec trojga dzieci.

Ta listopadowa sobota była dla obydwu bohaterów banalnie typowa. Choć wcale się nie znali i nie wiedzieli jeszcze o swoim istnieniu, spędzali ją podobnie. Przed południem Artur spotkał się z kolegami, pili wino i oglądali film na wideo. Po południu znowu coś wypili i wyszli na osiedle zupełnie nie wiedząc, co począć w właśnie nadchodzący wieczór. Zbigniew natomiast, przy pomocy życzliwego sąsiada, zakładał świetlówkę w akwarium dla rybek, co dawno już obiecał dzieciom. Oczywiście za pomoc trzeba było podziękować, wyciągnął więc pół litra wódki. Potem było następne, a wkrótce i to okazało się za mało. Żona burczała pod nosem, więc obaj postanowili wynieść się w spokojniejsze miejsce. Odwiedzili wspólną znajomą, tam wypili jeszcze jakieś wino i około 19.00 wracali do domu. Zbigniew był już dobrze wstawiony, a po wódce bywał agresywny. Idąc ulicą zobaczył chłopaka stojącego w towarzystwie dwóch dziewczyn. Bez żadnego powodu przechodząc obok nich „strzelił z byka" chłopaka, uderzył go parę razy pod żebra aż tamtemu dech zaparło, po czym wielce z siebie zadowolony pociągnął kumpla za rękaw i poszli dalej. Kilka minut później, gdy dochodzili do swojego bloku, drogę zastąpiło im sześciu młodych ludzi. Nim zdążyli wykonać ruch, posypały się na nich ciosy. Kumpel Zbigniewa był mniej pijany i sprawniejszy, wyrwał się więc napastnikom i uciekł. Zbigniew natomiast zbierał razy od młodzieniaszków, z których najaktywniejszy był krępy osiłek poruszający się o kulach. Jedna z kul zresztą znakomicie służyła mu jako narzędzie walki i nią to właśnie Zbigniew zainkasował potężny cios pod oko.

Poturbowany Zbigniew wrócił do domu. Nie mógł sobie darować, że tak go pobili, a wódka potęgowała poczucie krzywdy i wzmagała chęć zemsty, na „cholernych łobuzach, którzy nie dają przejść ulicą spokojnemu człowiekowi". Nie pamiętał już, że parę minut wcześniej zrobił dokładnie to samo innemu człowiekowi. Wyciągnął nóż z szuflady i odgrażając się, że on „im pokaże", on „ich nauczy", wybiegł z domu. Jego żona poprosiła kolegę, aby pobiegł za nim i powstrzymał od robienia głupstw. Zbigniew wybiegł na podwórze i rozejrzał się. Zobaczył idących z przeciwka chłopaków, rozpoznał w nich niedawnych napastników i ruszył w ich stronę. Jednym z chłopców był Artur. To właśnie on uciekł na parking, gdzie między schodami dopędził go Zbigniew. Chłopak wyrywał się, szarpał, krzyczał. Dostał cios nożem w piersi, potem drugi. Osunął się na ziemię, próbował wzywać pomocy i dostał jeszcze jeden cios. Zbigniew zostawił go leżącego między samochodami i odsze

Wkrótce zjawił się któryś z kolegów Artura i widząc, co się stało, zadzwonił po pogotowie. Karetka przyjechała szybko, wkrótce zjawiła się też Policja. Pogotowie odjechało z rannym do szpitala, policjanci zostali na miejscu, by odtworzyć przebieg zdarzenia. Wśród tłumu gapiów otaczających radiowóz był także Zbigniew N.

PODPALILI—BO SYPAŁ

Był wtorek, 2 kwietnia 1991 roku, pierwszy dzień po świętach wielkanocnych. Poświąteczny nastrój – przynajmniej w Szczecinie – szybko ochłodziła tragedia, jaka rozegrała się tego dnia w centrum miasta w godzinach popołudniowych. Dwójka młodych ludzi oblała rozpuszczalnikiem swego rówieśnika, a następnie podpaliła. Ofiara młodzieńczych porachunków zmarła po kilkunastu godzinach w szpitalu nie odzyskawszy przytomności.

2 kwietnia dyżurny I Komisariatu Policji w Szczecinie otrzymał informację od pełniącego dyżur lekarza pogotowia ratunkowego, że przed kilkunastoma minutami do jednego ze szpitali przywieziono 17-letniego Roberta K. z poparzeniami pierwszego i drugiego stopnia twarzy, klatki piersiowej, ramion i przedramion. Z informacji uzyskanych bezpośrednio od lekarza karetki pogotowia, który jako pierwszy udzielał mu pomocy, wynikało, że ofiara została podpalona i dlatego powiadomił o tym Policję.

Robert K. natychmiast po przewiezieniu do szpitala został poddany skomplikowanej operacji. Operujący go lekarze twierdzili z całą stanowczością, że nic nie zagraża życiu pacjenta. Niestety, wstępna diagnoza okazała się błędna. Robert zmarł następnej doby nie odzyskawszy przytomności. Jako przyczynę zgonu określono objawy niewydolności układu krążeniowo-oddechowego, poparzenia gardła i krtani. Jedną z przyczyn śmierci był także nagły wstrząs termiczny.

Tragiczne zajście rozegrało się w rejonie Politechniki Szczecińskiej. Kilku młodych mężczyzn rozmawiało o czymś nerwowo, wyraźnie gestykulując przy tym rękoma, później dwóch z nich rzuciło się z pięściami w kierunku trzeciego. W pewnej chwili napadnięty upadł na ziemię. Nie zaprzestali bicia z trudem broniącego się chłopaka, wręcz przeciwnie — kolejne razy padały na leżącego, który stracił przytomność. Nagle jeden z napastników wyjął zza pazuchy kurtki butelkę z cieczą i oblał nią ofiarę. Po chwili rzucił zapaloną zapałkę.

W jednej chwili ciało Roberta K. zajęło się ogniem. Piekący ból i rosnąca z sekundy na sekundę temperatura spowodowały, że niemal natychmiast odzyskał przytomność. Zerwał się z ziemi, zaczął jak oszalały pędzić przed siebie wzywając pomocy.

Wydarzenia rozegrały się dosłownie w ciągu kilkunastu sekund. Kilku mężczyzn wybiegło w pościgu za oprawcami, niestety, tamci byli szybsi i zdążyli się rozpierzchnąć po okolicznych zakamarkach albo wtopić błyskawicznie w tłum.

Zeznania świadków zdarzenia nie wniosły zbyt wiele nowych szczegółów do posiadanych już informacji. Ale mimo to efekt trwającego dopiero kilka godzin śledztwa i tak był imponujący.

Policja była w posiadaniu portretów pamięciowych sprawców podpalenia Roberta K. Jeden ze świadków słyszał, jak napastnicy kilka minut wcześniej grozili późniejszej ofierze podpaleniem. Ustalono niezbicie, że było trzech napastników, jednakże jeden z nich nie uczestniczył bezpośrednio w zajściu — stał kilka metrów od miejsca, gdzie rozegrała się tragedia.

Ofiara podpalenia była dobrze znana szczecińskiej Policji. Przeciwko Robertowi K. prowadzono od kilku tygodni postępowanie przygotowawcze w związku z podejrzeniem o dokonanie przez niego kilkunastu włamań do samochodów. Był nawet w związku z tym przesłuchiwany pod koniec marca, ale z braku dostatecznych dowodów winy nie można było mu jeszcze przedstawić żadnego zarzutu. Został więc zwolniony pozostając w dalszym ciągu w kręgu zainteresowania.

— Czy interesuje was miejsce pobytu sprawcy podpalenia Roberta K.? — odezwał się nieznany rozmówca dzwoniący pod numer telefonu pogotowia policyjnego 997. — Jeśli chcecie go złapać, jedźcie na ulicę... numer... Tam na pewno go teraz znajdziecie.

Pod wskazany adres niemal natychmiast udała się grupa funkcjonariuszy ze śródmiejskiej KRP w Szczecinie. Kiedy byli już na miejscu i przycisnęli dzwonek, po chwili

— Niech pan powie, że pana też ktoś wcześniej pobił — popchnął go w stronę radiowozu stojący obok świadek wcześniejszego pobicia, który wyglądał z okna. I Zbigniew podszedł do policjantów. Zacinając się lekko opowiedział o swojej krzywdzie, pokazując podbite oko. W tym momencie do radiowozu podszedł chłopak z dziewczyną i wskazując Zbigniewa powiedział do policjantów:

— Panowie, ten facet pół godziny temu pobił mnie na ulicy. Potem, gdy odprowadzałem koleżankę, zobaczyliśmy go tu, jak z nożem w ręce gonił jakiegoś chłopca. Dopadł go między samochodami i zadawał ciosy...

Wszystkich zamurowało z wrażenia. Zbigniew N. nie zaprzeczał i nie potwierdzał tego, co usłyszał, w ogóle robił wrażenie jakby niewiele do niego docierało. Wkrótce okazało się, że ma 2 prom. alkoholu we krwi. Niebawem też ze szpitala przyszła tragiczna wiadomość, że 17-letni Artur zmarł.

Zbigniew N. od chwili zatrzymania niezmiennie powtarzał, że nie pamięta zdarzeń tego wieczoru. I na tym można by zakończyć tragiczną historię dwóch mężczyzn, wobec których los okazał się szczególnie przewrotny, gdyby nie dalszy jej ciąg z jeszcze innym bohaterem w roli głównej.

Miesiąc po dramatycznym wydarzeniu, na tym samym osiedlu późnym wieczorem wracał do domu 18-letni Jerzy. Nagle zaczepił go osiłek, który wyraźnie szukał zwady, a widząc, że przechodzień nie reaguje, zawołał kolegów. We trzech rzucili się na Jerzego, zadając ciosy gdzie popadnie i przewracając go na ziemię, po czym wyciągnęli mu z kieszeni portfel. Widząc, że ulicą nadchodzi dwóch mężczyzn, napastnicy uciekli. Mężczyźni podnieśli pobitego Jerzego i właśnie w tym momencie nadjechał radiowóz. Złapanie młodych bandytów było kwestią paru minut. Okazało się, że prowodyrem całego zdarzenia był niejaki Dariusz, przyjaciel zmarłego niedawno Artura, ten sam, który miesiąc wcześniej z powodu zwichniętej nogi chodził o kulach. To on był najważniejszą postacią w działającej na osiedlu grupie młodzieńców, którzy wypiwszy parę win, lubili dla draki albo dla pieniędzy „oskubywać pijaków". Z jego to inicjatywy pobity został miesiąc temu Zbigniew N., który potem zemścił się na Arturze.

Dariusz i Zbigniew są w jednym więzieniu. Los przeciął w końcu i ich ścieżki...

ELŻBIETA SITEK

---

w drzwiach ukazała się głowa gospodarza.

— Dzień dobry. O co chodzi ? — rzucił w kierunku stojących na zewnątrz policyjnych wywiadowców.

— Jesteśmy z Policji — to mówiąc okazali legitymacje służbowe. — Czy możemy prosić pana o dowód osobisty?

— Ale dlaczego... O co chodzi? — udawał zaskoczonego.

— To się zaraz okaże.

Wylegitymowanym okazał się 18-letni Robert S., którego łączono ze wczorajszym zbrodniczym podpaleniem przed gmachem politechniki.

Dzięki zeznaniom Roberta S. i wcześniejszym ustaleniom prowadzonego z wielką energią śledztwa, jeszcze tego samego dnia zatrzymano drugiego sprawcę podejrzanego o spowodowanie śmierci Roberta K. — Andrzeja P., lat siedemnaście. Nazajutrz w południe w ręce Policji wpadł trzeci z poszukiwanych — 18-letni Grzegorz W.

Cała trójka ma podobne życiorysy. Nie pracują, nie uczą się, są na utrzymaniu rodziców, a mimo to nigdy nie narzekali na brak pieniędzy. Są dobrze znani tutejszej Policji, gdyż podejrzewa się ich o blisko czterdzieści włamań do samochodów. Także w sprawie, w której na kilka dni przed śmiercią przesłuchiwany był Robert K.

Razem z Robertem tworzyli niezły, dobrze zgrany kwartet przestępczy. Kiedy jednak K. jako pierwszy został wezwany do złożenia wyjaśnień, stracili jakby do niego zaufanie. Zupełnie bezpodstawnie zaczęli zarzucać mu, że sypie kolegów. I chociaż nie mieli na to żadnych dowodów, zdecydowali się na zemstę.

Teraz w śledztwie próbują do minimum zmniejszyć swój udział w tragicznych wydarzeniach tamtego kwietniowego popołudnia.

Robert S.: — Tak, oblałem go rozpuszczalnikiem, ale tylko po to, aby go przestraszyć. Naprawdę nie miałem wtedy żadnych innych zamiarów. Dlaczego kopałem leżącego na ziemi rówieśnika? Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przyznaję, że to chyba ja krzyczałem „teraz cię sk... podpalimy" — ale dziś nie wiem, dlaczego tak się zachowywałem.

Adam P. — Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Roberta. Stałem tylko z boku i obserwowałem, co się dzieje. Kiedy zobaczyłem, że cały zajął się ogniem, próbowałem go ratować.

Grzegorz W. — Nie wiem, dlaczego podpaliłem Roberta. Tak, był moim dobrym kolegą. Dlaczego rzuciłem w jego kierunku zapaloną zapałkę i to dwa razy, chociaż wiedziałem, że przed chwilą oblano go łatwopalną cieczą? Nie wiem, to się samo zrobiło.

Robertowi S. i Grzegorzowi K. prokurator przedstawił zarzut zabójstwa. Razem z Adamem P., oprócz tego, odpowiadać będą za kilkadziesiąt włamań do samochodów. Czwarty kompan Robert K. wyeliminowany został z ławy oskarżonych przez swoich wspólników, kiedy wzajemne waśnie i nieporozumienia zaczęli załatwiać za pomocą butelki z rozpuszczalnikiem i paczki zapałek.

KRZYSZTOF KILIJANEK

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

● Wzrost przestępczości w Korei Południowej

Ten niespodziewany, nowy fenomen w Korei Południowej, skłonił prezydenta Roh Tae Woo do wypowiedzenia „wojny zbrodni". Wszyscy policjanci będą uzbrojeni i opracowane zostaną nowe przepisy o użyciu broni. W ciągu najbliższych dwóch lat korpus policyjny zostanie powiększony o 16 tys. funkcjonariuszy.

W porównaniu z innymi uprzemysłowionymi państwami, wskaźnik przestępczości w Korei Południowej jest stosunkowo niski. W 1988 roku, jak wynika ze statystyk Interpolu, na 100 000 mieszkańców notowano tam 2229 zbrodni i innych czynów przestępczych, wobec 5690 we Francji. Ale w latach 1985—1989 liczba zbrodni i przestępstw wzrosła w Korei Południowej o 33 proc. Tylko w ciągu dziewięciu pierwszych miesięcy 1990 roku dokonano tam 755 zabójstw, wobec 782 zarejestrowanych w całym poprzednim roku. Niemniej jednak wskaźnik ten jest niski: 1,4 zabójstwo na 100 000 mieszkańców, wobec 4,6 w przypadku Francji i 8,4 w Stanach Zjednoczonych.

● Rozbita szajka złodziei samochodów

Po aresztowaniu w Paryżu czterech znanych francuskiej policji recydywistów, rozbito 27-osobową szajkę złodziei samochodów. Wstępnie ustalono, że w ciągu zaledwie dwóch miesięcy członkowie szajki skradli w Paryżu i najbliższych okolicach 150 samochodów, przeważnie luksusowych, które następnie sprzedano paserom w południowej Francji.

Szefem szajki był 54-letni Jean Morell Belleguele, zamieszkały w Paryżu, notowany w tamtejszych kartotekach policyjnych.

● Zamiast na wyścigi za kratki

W Rio de Janeiro i w Sao Paulo brazylijska policja aresztowała czterech Włochów, członków sycylijskiej mafii, podejrzanych o handel narkotykami. Przybyli oni do Brazylii z okazji niedawnego wyścigu samochodowego Formuły I, który odbył się w Sao Paulo. Posiadali przy sobie sfałszowane paszporty, wystawione na inne nazwiska.

● 30 lat więzienia dla „ministra kokainy"

Były boliwijski minister spraw wewnętrznych Luis Arce Gomez skazany został przez sąd w Fort Lauderdale (Floryda) na 30 lat pozbawienia wolności. Skazano go za przemyt kokainy do Stanów Zjednoczonych i zorganizowanie sieci dystrybucji tego narkotyku w tym kraju.

52-letni Arce Gomez, przezwany „ministrem kokainy", wydany został przez Boliwię amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości w grudniu 1989 roku.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Zapadły wyroki sądowe wobec czterech pielęgniarek wiedeńskiego szpitala Lainz w Austrii, które w latach 1983—1989, z premedytacją uśmierciły 42 osoby w starszym wieku, przebywające w zakładzie na leczeniu. 32-letnia Waltraud Wagner i 29-letnia Irena Leidolf skazane zostały na dożywotnie pozbawienie wolności. Natomiast 51-letnią Stefanię Mayer i 28-letnią Marię Gruber sąd wiedeński skazał odpowiednio na 20 i 15 lat pozbawienia wolności.

(zdj. „Der Spiegel")

BOLĄCZKI PRZEMYSKIEJ

Południe, 16 maja 1991 r. Pociąg pospieszny z Lublina wtacza się na most kolejowy i w chwilę później zatrzymuje na stacji Przemyśl Główny. Niewielu pasażerów wychodzi na peron. Na dworcu obserwuje się ożywiony ruch. Nic dziwnego — ponad 65-tysięczny Przemyśl to ważny węzeł komunikacyjny na linii Kraków—Lwów, blisko stąd do kolejowego i drogowego przejścia granicznego w Medyce.

Dzięki uprzejmości kierownika Samodzielnej Sekcji Ruchu Drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Przemyślu nadkom. dr. Henryka Fedewicza mam okazję zapoznania się z terenem, na którym operuje „drogówka" oraz dowiedzieć się, jakie ma problemy. W mieście tym funkcjonują bary i bazary, słyszy się rozmowy w różnych językach, panuje duży ruch. Wąskie ulice i duża liczba pieszych nie ułatwiają zadania kierowcom — trzeba mieć wyjątkową wprawę, by manewrować w takich warunkach. W centrum największe nasilenie ruchu kołowego i pieszego. Przy ulicy Sportowej na obrzeżach stadionu usytuowany jest „ruski bazar". Odnotowuje się tam najwięcej wypadków. Problemem dla miasta jest ruch tranzytowy i pilna potrzeba wybudowania obwodnicy na międzynarodowej trasie E40. Serpentyny dróg, zbiegające ze wzgórz do centrum miasta są bardzo niebezpieczne, tym bardziej że przed wizytą papieża remontowane były nawierzchnie i pobocza.

Jedziemy z redakcyjnym fotoreporterem w kierunku przejścia granicznego w Medyce. Na przestrzeni kilku kilometrów ustawia się gigantyczna kolejka samochodów osobowych i ciężarowych, przeważnie z zagraniczną rejestracją. Kolejka porusza się w żółwim tempie, więc kierowców w samochodach z reguły nie ma. Okazuje się, że w r. 1990 to przejście graniczne przekroczyło 494 367 pojazdów, w tym 460 378 samochodów osobowych i 33 989 ciężarowych i autokarów. Natomiast w I kwartale br. przejechało tu granicę 89 417 pojazdów i liczba ta systematycznie rośnie. Tym pilniejsze staje się ukończenie rozbudowy trasy E40 na peryferiach miasta (zwłaszcza budowa tzw. odcinka E40a, połączenie ulicy Bohaterów Getta z ul. Lwowską, kierującą ruch kołowy w stronę granicy państwowej w Medyce).

O tym, że Policja drogowa ma pełne ręce roboty, przekonuję się wyjeżdżając dwukrotnie radiowozem na miejsce wypadków. Na zjeździe z góry na ostrym wirażu leży wywrócona na bok ciężarówka, a raczej autobus przerobiony na ciężarówkę, obok — walają się trociny. Inny radiowóz już wcześniej zabezpieczył miejsce wypadku. Tym razem kierowca miał szczęście — wyszedł z opresji cało. Podobno zepsuły się hamulce i zdecydował się wjechać na pobocze i oto skutki...

Odjeżdżamy radiowozem z miejsca wypadku i dowiadujemy się, że na ul. Tarnowskiego samochód potrącił dziecko. Jedziemy na miejsce. Z daleka widać tłumek dyskutujących ludzi, nieco dalej stoi jasny polonez, a obok jego właściciel. Przypadkowi ludzie doradzili kierowcy, aby natychmiast zawiózł dziecko (był to 9—10-letni chłopiec) do pobliskiego szpitala. Na krawędzi maski poloneza widzę wyraźne wgniecenie. Musiało to być dość silne uderzenie. Pytam kierowcę, z jaką prędkością jechał. — Dwadzieścia na godzinę — odpowiada. Długie na co najmniej 7—8 metrów ślady hamowania świadczą, o czym innym. Technicy kryminalistyki utrwalają ślady na miejscu zdarzenia. Tłum gapiów powoli się rozchodzi.

Z informacji kierownika samodzielnej sekcji ruchu drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Przemyślu nadkom. dr. Henryka Fedewicza dowiaduję się, że w I kwartale br. wypadkowość w województwie wzrosła o 38,9 proc., liczba zabitych o 180 proc. (w ubiegłym roku, w analogicznym okresie 5 osób, w bieżącym — 14), liczba rannych wzrosła o 23,2 proc. Najgroźniejsze odcinki to 642 kilometr w końcu obszaru zabudowanego w m. Przeworsk, gdzie w poziomie trasy E40 znajduje się nie strzeżony przejazd z trakcją kolejki wąskotorowej relacji Przeworsk-Dynów, sygnalizacją świetlno-dźwiękową, lecz z ograniczoną widocznością torowiska; kilometr 650 w końcu obszaru zabudowanego w m. Radymno, gdzie zlokalizowano przejazd strzeżony wielotorowej trakcji kolejowej relacji Przemyśl—Kraków, z uwagi na intensywny ruch kolejowy przejazd ten jest zamykany na dłuższe okresy, a w czasie otwarcia ruchu kierowcy muszą znacznie zmniejszać prędkość; kilometr 666 w Przemyślu

»DROGÓWKI«

na ul. Sobieskiego, trudny technicznie wjazd do miasta (niebezpieczne zakręty i obecnie zwężenie jezdni). Najwięcej wypadków Policja odnotowała podczas drugiej zmiany (wzrost o 12 proc. w stosunku do roku ubiegłego) — najczęściej w poniedziałki, wtorki i czwartki.

Najczęściej przyczyną wypadków są błędy pieszych — aż 28 proc. ogółu wszystkich wypadków, nadmierna prędkość — 24 proc. i nietrzeźwość kierowców — 14 proc., przy czym jeśli mowa o tych ostatnich — nastąpił wzrost w porównaniu z rokiem ubiegłym o 57 proc.

Obiektywną przyczynę wzrostu liczby wypadków stanowi przyrost liczby zarejestrowanych pojazdów — pod koniec 1990 roku było ich 140 tysięcy na terenie województwa. Jeśli dodamy do tego ruch tranzytowy i zły stan dróg — kłopoty „drogówki" staną się bardziej zrozumiałe.

Co należy uczynić — pytam kierownika Samodzielnej Sekcji Ruchu Drogowego KWP w Przemyślu nadkom. dr. Henryka Fedewicza — aby poprawić stan bezpieczeństwa na drogach? (Oczywiście, oprócz rozbudowy całej infrastruktury trasy E40 i remontów). Kierownik uważa, iż za mało jest przejść dla pieszych, dzieci pozostają często bez opieki i nie są świadome niebezpieczeństwa, dlatego też Policja stara się na bieżąco organizować spotkania z dziećmi i młodzieżą, nie jest jednak w stanie zapobiec beztrosce rodziców. Także z kulturą jazdy nie jest najlepiej. A tu na dodatek i „tradycyjne" problemy: brak podstawowego sprzętu — samochodów, motocykli, radarowych mierników prędkości, tzw. alkotestów (brakuje 12) i nieszczęsnych bloczków mandatowych, o których jako o problemie nie do pokonania wszędzie słychać. Policjanci służby drogowej chcieliby mieć również porządne mundury, wzorowane na zachodnich...

WALDEMAR GAJEWSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

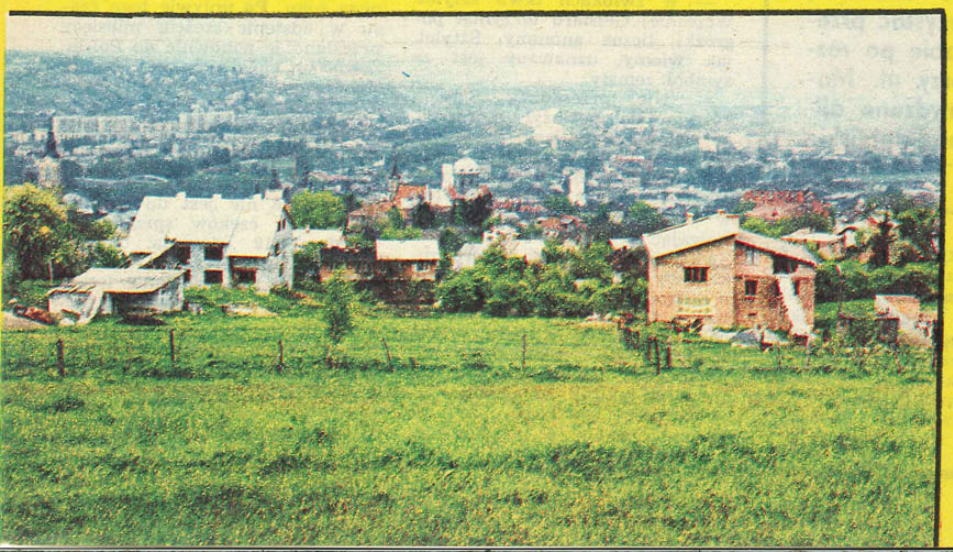

SHERLOCK HOLMES ZMIENIA SKÓRĘ

ciąg dalszy ze s. 12–13

kańskich krytyków, to „eksplozja pomysłów połączona z misternie utkaną fabułą".

Bohater powieści Iana Fleminga (zrodzony na kanwie pomysłu o superczłowieku) komandor James Bond to człowiek chroniący świat przed szaleńcami, którzy próbują wysadzić Ziemię w powietrze. Postać ta, wykreowana na ekranie np. przez Seana Connery czy Rogera Moora, ucieleśniła swego czasu mit człowieka Zachodu, który dzięki swej inteligencji i umiejętnościom potrafi przeciwstawić się komunistycznemu totalitaryzmowi, który światu może przynieść jedynie zagładę. Sukces Fleminga leży również w tym, że każdy z czytających pragnął utożsamić się z superczłowiekiem, któremu (już na początku każdej książki) przypisane jest zwycięstwo. W tym przypadku każdy z biorących do ręki taką powieść sensacyjną mógł tylko zadawać sobie pytanie, w jaki sposób Bond odniesie kolejne zwycięstwo?

Forsyth („Dzień Szakala", „Psy wojny") czy MacLean („Działa Nawarony", „Tylko dla orłów") skomplikowali sylwetki psychologiczne swoich bohaterów, poddali ciśnieniu otaczających ich wydarzeń. W tak zaprezentowanym przez nich świecie zwycięzcą był nie tylko ten, kto jest najsprytniejszy czy najinteligentniejszy, ale i najsilniejszy psychicznie. Bohaterowie tej dwójki autorów zwyciężają dlatego, że są zwykłymi ludźmi, którym nie jest obcy strach. Są nam bliscy, gdyż czują tak samo jak my sami, śledzący z zapartym tchem koleje ich przygód.

Jednak ostatnio powieść sensacyjna zaczyna oddalać się od powyższego schematu. Jego echa można jeszcze usłyszeć np. w „Sześciu dniach Kondora" Jamesa Grady. Tak naprawdę jednak coraz częściej autorzy współczesnych powieści sensacyjnych uciekają w akcję, szokują czytającego brutalnością świata przestępczego. Ponownie zaczyna do głosu dochodzić bohater Mammettowskiego czarnego kryminału, z tym tylko że w coraz karykaturalniejszej formie. W większości obecnie proponowanych na rynku księgarskim książek z dziedziny literatury sensacyjnej gwałt zwyciężyć można tylko gwałtem.

„Kula z magnum trafiła go w pierś, a luger poszybował w górę, w górę, w górę... mierząc w niebo, kiedy Skorpion padł na wznak do płytkiego rowu... Cienki strumyczek czerwieni wsączył się do wody i popłynął łagodnie przez szuwary.

Harry przyglądał mu się dłuższy czas. Skończyło się, a on nie załatwił tej przeklętej sprawy jak należy. Wprawdzie Skorpion leżał martwy w rowie, ale żeby to osiągnąć, on, Harry, był zmuszony narazić życie wielu niewinnych ludzi". („Brudny Harry" Phillipa Rocka).

Na szczęście zmęczeni książkami, w których krew leje się strumieniem, a bohater pozytywny różni się niekiedy tylko tym od przestępcy, że nosi odznakę detektywa czy policjanta, możemy jeszcze sięgnąć do książek Roberta Ludluma, Toma Clancy („Polowanie na Czerwony Październik") czy Williama Goldmana („Maratończyk").

A jeśli i to nas znudzi, mamy możność jeszcze wrócić do starego, dobrego Sherlocka Holmesa, który spokojnie wyjaśni nam (czyli Watsonowi) zagadkę „Pięciu pestek pomarańczy" lub „Błękitnego karbunkułu".

PAWEŁ SZLACHETKO

W tekście wykorzystano fragmenty „Posłowia", pióra Krzysztofa Zarzeckiego, do „Sokoła maltańskiego".

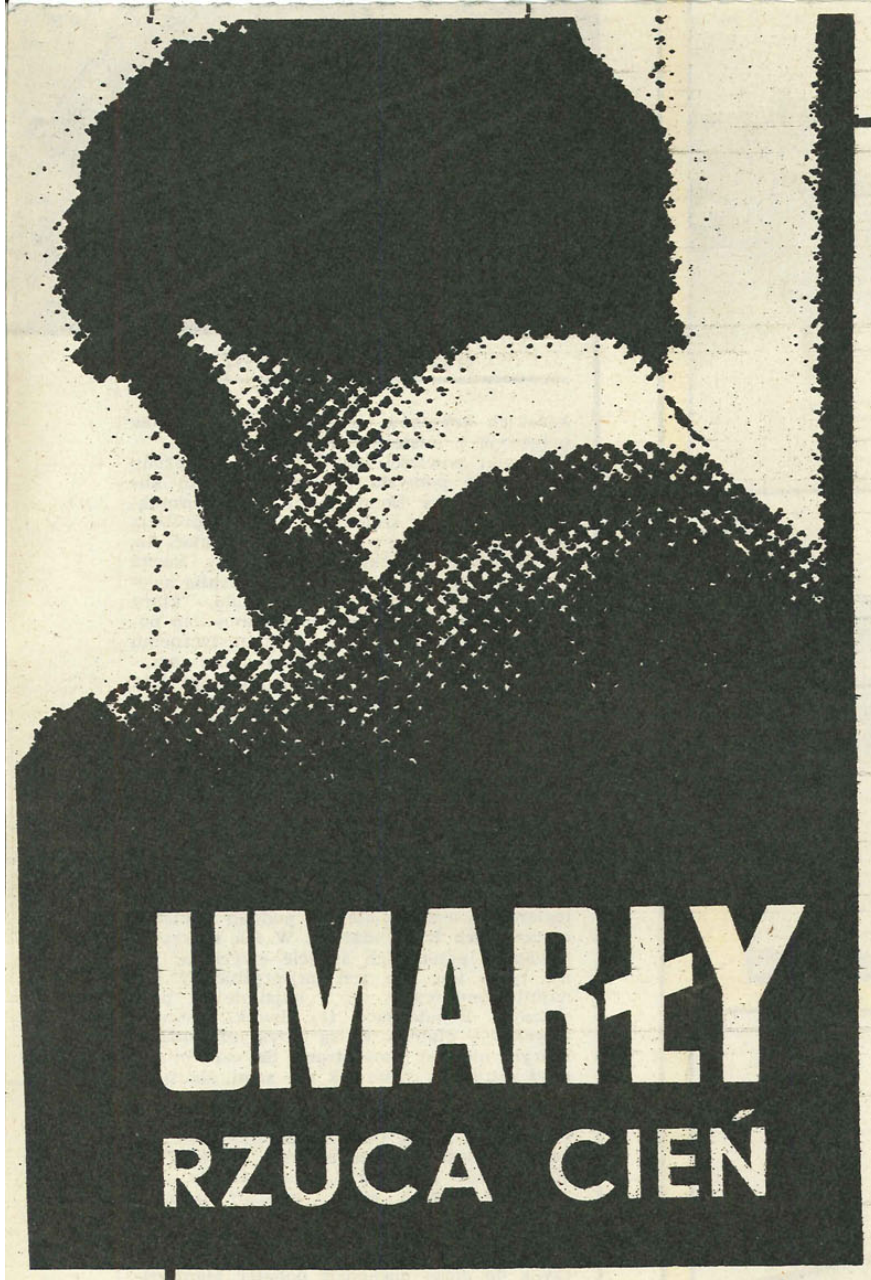

UMARŁY RZUCA CIEŃ

Sztuka śledcza zobowiązywała prowadzących postępowanie do zbudowania całego systemu wersji kryminalistycznych, jako narzędzia i metody objaśnienia tego zagadkowego morderstwa. Jednak nie wszystkie okoliczności i motywy do końca były ustalone, dokładnie rozpracowane. W myśl starej zasady, że przestępca zostawia ślad, popełnia błędy, usiłowano je odnaleźć, właściwie odczytać, by później wykorzystać przeciwko zabójcy. Wiele obiecywano sobie po rozmowach z mieszkańcami bloków przy ul. Matejki, Bagno i Świętokrzyskiej. Sprawdzono alibi ponad 600 osób, skontrolowano pobliskie meliny.

Pitaval współczesny

JERZY KIRZYŃSKI

MARCEL TABOR

2

Sporządzono tysiące notatek służbowych, protokołów. Materiał ten należało poddać gruntownej obróbce. Spodziewano się, że znajdzie się w nim choćby najdrobniejszy ślad wskazujący kierunek dalszych poczynań.

Na podstawie przebiegu zajęć T. Gerharda 19 i 20 sierpnia, wyników sekcji oraz zeznań świadków przyjęto, że pisarz zamordowany został w godzinach przedpołudniowych. Z ustaleń wynikało, że napad został skrupulatnie przygotowany i sprawnie przeprowadzony. M.in. te elementy podkreślono w czasie kolejnego spotkania członków grupy „Bieszczady" powołanej do wykrycia sprawców.

— Drzwi wejściowe wyposażone w zamek zatrzaskowy z tzw. okrągłą klamką uniemożliwiający otwarcie bez oryginalnego klucza, obite blachą nie miały żadnych uszkodzeń. Ponadto badania mechanoskopijne wykazały, że zamek „Yale" nie był otwierany niewłaściwym kluczem. Musimy zatem przyjąć, że Gerhard dobrowolnie wpuścił zabójcę do mieszkania — dowodził jeden z oficerów.

— Co należy jednak sądzić o przedmiotach leżących przed drzwiami mieszkania Gerhardów? Być może sprawca oczekiwał na ofiarę znajdując się w mieszkaniu i zaatakował Gerharda w chwili, gdy ten wchodził do domu. Wtedy też spadły mu okulary — dodawał inny.

— Zapominasz, że denat ubrany był w piżamę, nie mógł wychodzić na podwórko. Przychylam się do wniosku, że nie świadom tego, co go czeka, otworzył drzwi... — mówił porucznik.

— Chcę ci jednak przypomnieć, że zamordowany miał wprawdzie na sobie piżamę, ale tylko górę. Ubrany był bowiem w spodnie od garnituru.

— Nie ulega wątpliwości, że w okolicznościach otwarcia drzwi wejściowych znajduje się rozwiązanie zagadki — zawyrokował prowadzący naradę. — Wiemy przecież, że Gerhard był niezwykle ostrożny, zanim zwolnił zasuwę przy drzwiach, za każdym razem sprawdzał, kto stoi na korytarzu. Może zainteresował się tym, co dzieje się na klatce schodowej i kiedy wyjrzał, otrzymał cios w głowę. Sąsiedzi nie wspominają jednak o jakimkolwiek hałasie, zamieszaniu.

— W zwłokach tkwił sztylet. Wcześniej Gerhard otrzymał pogróżki, liczne anonimy. Sztylet, jak wiemy, uznawany jest za symbol zemsty...

— Nie przesadzaj. Sztylet, którym się posłużył morderca, był własnością ofiary. Pasek zaciśnięty na szyi denata również. Faktem jest, że pisarz obawiał się czegoś lub kogoś. Np. w końcu grudnia 1969 r. przebywając w pensjonacie „Alga" w Świnoujściu poprosił kierownika, aby ten osobom pytającym o niego mówił, że Gerharda nie ma w pensjonacie. Ponadto miał on uczestniczyć w balu sylwestrowym ale, niespodziewanie, około godz. 19.00 wyszedł z walizką w ręku z pensjonatu, oświadczając portierce, że „są jeszcze sprawy, o których nikt nie może wiedzieć". Później, po powrocie do stolicy oznajmił, że zobaczył ducha człowieka, którego nie powinien był widzieć wśród żywych. Sądzę, że jest to nadal bardzo ważny kierunek naszego działania.

— Ze sposobu zadawania ran, szybkości działania, obrażeń wynika, że sprawca jest bardzo sprawny, silny fizycznie. Na razie niewiele możemy powiedzieć o tym, czy był to jeden napastnik czy też było ich więcej. Znalezione podczas oględzin dwa włosy męskie (jasny szatyn i jasny blond) oraz dwa ślady spodów obuwia męskiego wskazują, że napastników było co najmniej dwóch. Trzy sztucznie barwione włosy świadczą o tym, że mogła pomagać im kobieta. Jedna z lokatorek widziała dwa dni przed zabójstwem przed mieszkaniem Gerhardów dwie kobiety i mężczyznę.

Uwagom, spekulacjom, inicjatywom nie było końca. Przyjęto, że zbrodnia mogła być popełniona na tle politycznym, rabunkowym bądź też z zemsty. W zależności od napływających informacji niektóre wersje osobowe i problemowe wydawały się bardziej prawdopodobne, z innych rezygnowano.

Wśród skradzionych przedmiotów znajdowały się, jak już wspomnieliśmy, czeki podróżne i bułgarskie lewa. Dawało to wiele do myślenia. Na piśmie Stowarzyszenia Autorów „ZAIKS" skierowanym do Banku Handlowego SA z prośbą o umożliwienie zakupu J. Gerhardowi czeków na wyjazd do Bułgarii znajdowały się ich numery. Odszukano kasjerkę, która 19 sierpnia wydała, znanemu jej osobiście klientowi, 7 czeków o numerach D 0175536, D 0175537, D 0175538, C 2138321, B 1005453, oraz 0705964 i 0705965. Pisarz podpisem potwierdził ich odbiór, nie podpisał natomiast, co winno następować w obecności pracownika banku, każdego z czeków. Kasjerka tłumaczyła się, że tego dnia panował duży ruch, a składanie podpisu opóźniało obsługę kolejnych interesantów.

Zaświtała nadzieja, że czeki mogą ułatwić identyfikację osoby, która posłużyła się nimi. Zadawano sobie wiele pytań, najczęściej jednak: czy i w jakim stopniu pomocne okażą się one w ustaleniu sprawcy morderstwa?

Sprawdzono tryb obiegu czeków. Okazało się, że termin ich ważności mijał 19 lutego następnego roku. Po upływie tego czasu w odstępie sześciu miesięcy przesłano je ponownie do Polski. Zwrócono się do dyrekcji Banku Handlowego SA w Warszawie o poinformowanie prowadzących śledztwo o nadejściu czeków skradzionych z mieszkania J. Gerharda. Uzyskano odpowiedź z której wynikało, że prośba ta praktycznie nie jest do spełnienia, liczba czeków sprzedanych od dnia 19 sierpnia, bowiem znacznie przekroczyła milion sztuk, stąd też wyłapanie wskazanych serii i numerów jest niemożliwe.

Uzgodniono więc, że wszystkie czeki wracające zza granicy przekazywane będą do MSW. 18 marca 1972 r. samochody ciężarowe przewożące 56 worków za-

wierających ponad 2 mln czeków podróżnych skierowały się w stronę Szczytna. Od tego czasu zajęcie słuchaczy szkoły oficerskiej przypominało szukanie igły w stogu siana.

Przyjęta, a następnie dopracowana metoda eliminowania czeków znacznie usprawniła poszukiwanie, zresztą wkrótce natrafiono na interesujące dwa czeki. D 0175536 i D 0175537 zrealizowane zostały 21 sierpnia 1971 r. na Węgrzech. Właścicielem ich była kobieta o nazwisku „Samojlik" bądź „Samojluk" Lilia. Odnaleziono po kilku dniach benedyktyńskiej pracy trzy następne oznaczone numerami: D 0175538, C 2138321 i B 1005453, którymi 14 października zapłaciła, jak odczytano w Zakładzie Kryminalistyki KG MO, turystka o nazwisku: „Wkolucka", „W. Kołucka" czy też „Kałucka".

Nie ulegało wątpliwości, iż te ustalenia oznaczały ogromny postęp w dążeniach do ustalenia sprawcy. Poznanie pełnych danych oraz adresów osób, których nazwiska widniały w rubryce; „Podpis posiadacza w obecności opłacającego czek" pozostawało jedynie kwestią czasu. To dawało gwarancje, że ustalony zostanie związek, jaki osoby te miały z zabójstwem czy też w jaki sposób weszły w posiadanie czeków należących do J. Gerharda.

Centralne Biuro Ewidencji Ludności wykazało, że w kraju zamieszkuje około 100 osób o nazwiskach „Samojlik" i „Samojluk", a „Kołuckich" i „Kałuckich" jest ponad 1000. Jednocześnie orzeczono, że w rejestrze nie występuje osoba o nazwisku „Wkołucka".

Pieczołowicie zbierano dane personalne tych osób, krąg zainteresowanych ograniczono do posiadających paszporty. Kolejnej eliminacji dokonywano następnie za pomocą identyfikacji pisma ręcznego. Ekspert Zakładu Kryminalistyki stwierdził, że na dwóch czekach zrealizowanych na Węgrzech podpisała się mieszkanka Białegostoku Lilia Samojluk, natomiast na trzech innych widnieje podpis Wandy Kołuckiej mieszkającej w Warszawie.

Z analizy akt paszportowych wynikało, że obie panie wielokrotnie wyjeżdżały za granicę. W interesującym funkcjonariuszy okresie przebywały m.in. w Bułgarii i na Węgrzech. 5 kwietnia przesłuchano je. Okazało się, że W. Kołucka zakupiła czeki od Barbary M., która nabyła je od Janiny G. Ta oświadczyła, że były one własnością Elżbiety O.

— W połowie września byłam w mieszkaniu szwagra — zeznawała Elżbieta O. — Andrzej zapytał mnie, czy przypadkiem ktoś z moich znajomych wybiera się za granicę, gdyż jego kolega ma do odstąpienia czeki podróżne. Dowiedziałam się od Janiny G., że jej koleżanka wyjeżdża na Węgry. Szwagier przekazał mi te czeki, a ja Janinie G.

Równolegle starano się wyjaśnić, w jakich okolicznościach L. Samojluk nabyła dwa czeki i jaki ma związek z J. Gerhardem?

— Czeki te kupił mój znajomy od przypadkowo spotkanych turystów polskich w Budapeszcie — informowała przesłuchującego. — Prawdopodobnie byli oni z Warszawy.

Osoby, z którymi przebywała na Węgrzech mieszkanka Białegostoku, potwierdziły ten fakt. W ten sposób białostocki „ślad" się urwał. Z tym większą starannością przystąpiono do wyjaśniania warszawskiego wątku. Zainteresowano się szwagrem Elżbiety O. Andrzejem S.

— Czeki kupiłem na bazarze Różyckiego, tam można kupić i sprzedać wszystko. Nie pamiętam, jak wygląda osoba, od której je nabyłem. Ponieważ zmieniłem zamiar i z wyjazdu za granicę zrezygnowałem, czeki sprzedałem Janinie G.

Przesłuchującemu oficerowi od samego początku wydawało się, że choć wprawdzie Andrzej S. składa logicznie brzmiące zeznania, to jednak wie więcej niż mówi. Starał się robić wyraźne uniki, aby nie odpowiadać na konkretne pytania.

W pewnym momencie, zapytany o znajomych i o kontakty z nimi zeznał:

— Utrzymuję zażyłe kontakty z wieloma kolegami z pracy i szkoły, wśród nich od 1966 r. z Zygmuntem Garbackim. Przez krótki czas pracowaliśmy w jednej instytucji. W tej instytucji pracują także inne osoby, z którymi Garbacki do dziś utrzymuje kontakty, odwiedzając swoje dawne miejsce pracy. Garbacki bywał często w moim mieszkaniu. Jest ono bowiem zlokalizowane w pobliżu uczelni, na której studiuje, Politechniki Warszawskiej.

A więc jednak, uchwycono konkretny związek pomiędzy skradzionymi czekami a Janem Gerhardem. Nić łączącą stanowił znajomy córki pisarza, Zygmunt Garbacki.

— Rok temu spotkałam go przypadkowo na ulicy w Warszawie — mówiła Małgorzata. — Od tego czasu zaczęłam częściej się z nim widywać. Garbacki studiuje na IV roku Architektury PW. Był u mnie kilkakrotnie w mieszkaniu przy ul. Matejki. O tym, że spotykam się z Garbackim, wiedziała zarówno matka, jak i ojciec.

Garbacki zapytany, gdzie przebywał w dniu zabójstwa pisarza odrzekł, że tego dnia nie wychodził z domu. Siostra potwierdziła ten fakt.

Z. Garbacki poprzez znajomość z córką zaliczany był do znajomych rodziny. Po tragicznej śmierci pisarza zaopiekował się paniami, był na pogrzebie. Coraz częściej też dopominał się o ustalenie terminu ślubu.

Przełomowym momentem śledztwa było zeznanie złożone przez Andrzeja S. Upływał właśnie 227 dzień od śmierci pisarza.

— Czeki dostałem do sprzedaży od Zygmunta Garbackiego, który prosił mnie o zachowanie tego faktu w tajemnicy (...) Jesienią 1971 r. Zygmunt podczas spotkania alkoholowego, oświadczył mi, iż wraz z Romanem (nazwiska nie ujawnił) jest sprawcą zabójstwa Jana Gerharda. Powiedział, że wręczone mi czeki pochodzą z mieszkania Gerharda. Z tego samego źródła pochodziły pierścionki, które otrzymałem od Garbackiego do wyceny i sprzedaży(...) Zaprzeczam kategorycznie, abym brał udział w zabójstwie. Czeki sprzedałem na prośbę Garbackiego.

6 kwietnia zatrzymano Zygmunta Garbackiego. Oświadczył, że nie dysponował żadnymi czekami podróżniczymi, a nawet nie orientuje się, jak wyglądają tego rodzaju dokumenty bankowe.

— Jeżeli ktokolwiek łączy mnie z zabójstwem Gerharda, to jest tragiczna pomyłka bądź wynik ludzkiej złośliwości.

Od tej pory wysiłek prowadzących śledztwo skoncentrowany był na ustaleniu wspólnika Garbackiego „Romana". Następnego dnia jego nazwisko było już znane. Ten od grudnia 1971 r. odbywał karę pozbawienia wolności.

Po przewiezieniu go do Aresztu Śledczego oświadczył:

— Tak, przyznaję się zgodnie z prawdą, że 20 sierpnia 1971 r. wspólnie z moim znajomym Zygmuntem Garbackim dokonałem zabójstwa Jana Gerharda...

Przyznał, że dwa czeki spośród zrabowanych sprzedał fryzjerowi Czesławowi W. Ten będąc w Warnie chciał je wymienić, ale kantor był zamknięty. Wtedy podszedł do niego nieznajomy mężczyzna, który je od niego odkupił. W ten sposób wyjaśnione zostały wszystkie okoliczności związane ze zrabowanymi czekami. Dodać trzeba, że znajomy L. Samojluk rozpoznał Czesława W. jako tego mężczyznę, od którego nabył czeki.

*

Proces toczył się przy szczelnie wypełnionej, największej, sali warszawskiego sądu od 25 maja do 16 czerwca 1972 r. Tego dnia ogłoszony został wyrok. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał Zygmunta Garbackiego i Mariana Romana Wojtasika na karę śmierci.

— Wiedząc, że sam nie potrafię dokonać tego czynu, wynająłem Wojtasika. Za dokonanie zabójstwa obiecałem mu zapłatę — powiedział w ostatnim słowie Zygmunt Garbacki.

Plan napadu powstał w czerwcu 1971 r., 19 sierpnia przystąpili do jego realizacji. W mieszkaniu, jak się zorientowali, byli znajomi Gerharda. Kolejną próbę podjęli 20 sierpnia. Wojtasik zabrał ze sobą dwie pary rękawiczek, rurkę żelazną. Garbacki rurkę tę po wejściu na klatkę wsunął w rulon kalki technicznej. Wojtasikowi oddał swoją legitymację studencką.

Garbacki zadzwonił, po chwili drzwi się otworzyły, Wojtasik obserwował, co dzieje się na korytarzu. Później podszedł do drzwi, zadzwonił. Mężczyźnie, który ukazał się w drzwiach pokazał legitymację Garbackiego.

— Przepraszam, chyba do pana wchodził jakiś mężczyzna i to zgubił.

Gerhard wziął do ręki granatowy kartonik, Garbacki zadał mu pierwszy cios. Pisarz pochylił się, puścił legitymację. Okulary upadły na wycieraczkę...

20 stycznia 1973 r. w prasie codziennej ukazał się komunikat, że Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski w stosunku do Zygmunta Garbackiego i Mariana Romana Wojtasika — skazanych na karę śmierci. Wyrok został wykonany.

KULISY „SPRAWY PRZEMYKA"

dokończenie ze s. 5

wiedzieli, kto zacz, przynajmniej już podczas jego pobytu w komisariacie, że mobilizacja znacznych sił i środków MSW oraz podległych mu jednostek nie była dyktowana względami politycznymi, a jedynie chęcią dojścia prawdy w „sprawie Przemyka"; w końcu, że Barbara Sadowska była „nikim" w działalności opozycji, a jedynie — jak głoszono bardziej lub mniej wyraziście — osobą niezrównoważoną i niezbyt dobrą matką.

— Czy resortem kierowała tylko chęć chronienia „na siłę" tzw. dobrego imienia MSW, czy zwykły strach przed ujawnieniem prawdy? Czy zacytowany dokument jest jedyny, który zaświadcza o zainteresowaniu SB i MO osobą Barbary Sadowskiej?

— Oczywiście — nie. Ten jest w pewnym sensie syntezą poprzednio pisanych charakterystyk, co pewien czas uzupełnianych o nowe, wynikające z inwigilacji, fakty. Po śmierci syna B. Sadowska poddana została stałej, różnorakiej obserwacji.

W jednej z licznych informacji, składających się na swoistą kronikę życia Barbary Sadowskiej, pisanej przez jej wrogów, czytamy m.in.: „(...) W tym samym dniu, ok. godz. 19.00 figurantkę odwiedziła Ligia Uriaż-Grabowska, figurantka Wydziału VIII Dep. IV MSW — lekarz Prymasowskiego Komitetu Pomocy. Sadowska wraz z wymienioną udały się na ul. Hozjusza do Parafii ks. Popiełuszki... Do Sadowskiej przybył samochodem marki Fiat 126p nr rej... A.K. (z uwagi na kontakt z B. Sadowską zostanie objęty kontrolą operacyjną). W dniu 30.10.1983 r. B. Sadowska przebywała kilka godzin w mieszkaniu Hanny Krall, ww. jest literatką i dziennikarką publikując w tygodniku „Polityka" — pozostaje w zainteresowaniu Wydz. IV Dep. III MSW). W godzinach wieczornych figurantka była na mszy odprawianej przez ks. Popiełuszkę (...). W dniu 4.11.83 r. ok. godz. 9.00 figurantka ponownie wraz z ww. przyjaciółką składa wizytę Harrisowi (światowej sławy uzdrowiciel, którego seansów w Polsce B. Sadowska była współorganizatorką — przyp. LJS). Po seansie wstępuje do Prymasowskiego Komitetu Pomocy, a następnie, ok. godz. 12.00 udała się do siedziby Prymasa Polski... 7.11.1983 r. Sadowska udała się samolotem do Gdańska. Kolejno przebywała na terenie Trójmiasta: Sopot, ul... (nawiązała tam kontakt z mec. Jackiem Taylorem, znanym adwokatem od spraw politycznych)... Kolejną wizytę Sadowska odbyła w mieszkaniu Lecha Wałęsy. Przebywała tam ok. 1 godz. w towarzystwie ww. Taylora..."

Przytoczone fragmenty tylko tej jednej „Informacji" wskazują, że Barbara Sadowska była dokładnie obserwowana. Wynika z niej również, jak szeroki był krąg osób z którymi się spotykała, a które odgrywały czołową rolę w podziemiu opozycyjnym tamtych lat. Dodam jeszcze, że mimo ciężkiej choroby, wykazywała ona wielką aktywność w niesieniu pomocy potrzebującym. Po dziś dzień wielu ludzi zachowuje ją we wdzięcznej pamięci.

— Dziękuję za rozmowę.

LESZEK J. SROKA

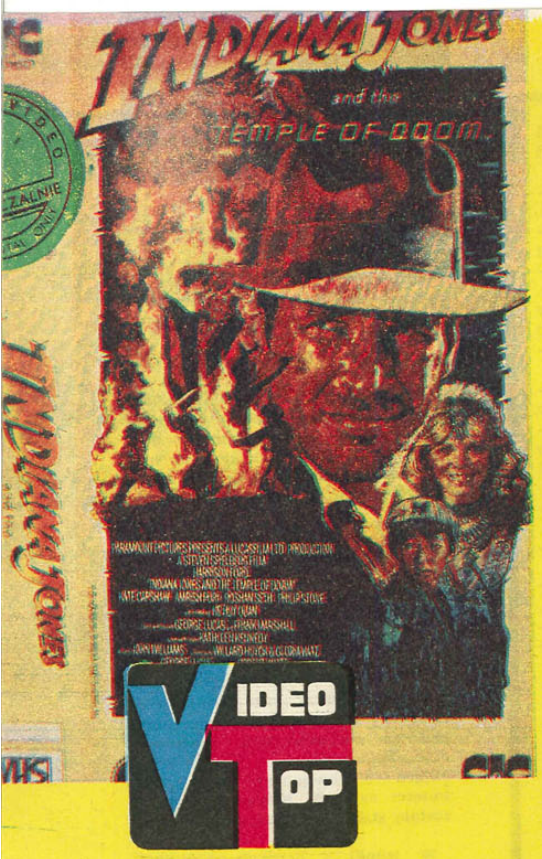

DOWN AND OUT IN BEVERLY HILLS (Włóczęga z Beverly Hills) — kom.

Wyst. Nick Nolte, Bette Midler, Richard Dreyfuss, Little Richard. Reż. Paul Mazursky.

Szukając psa, który uciekł, włóczęga trafia do Beverly Hills — niestety tutaj również nie znajduje swego ulubieńca. Postanawia zatem utopić się w jednym z basenów na terenie luksusowej rezydencji. Właściciel ratuje mu życie i... od tego momentu jesteśmy świadkami wielu przekomicznych sytuacji. Zabawa murowana.

CONFESSIONAL I, II (Konfesjonał) — seans.

Wyst. Keith Carradine. Reż. Gordon Fleming. Zawodowy morderca, wyszkolony przez radzieckie służby specjalne, zostaje przerzucony na Zachód, do Irlandii Północnej. Jego zadaniem jest podjudzanie przeciw sobie katolików i protestantów. Dochodzi nawet do tego, że IRA wspólnie z brytyjską służbą specjalną postanawia połączyć swoje siły w celu odnalezienia i wyeliminowania mordercy. Ogląda się.

PALE RIDER (Niesamowity jeździec) — western.

Wyst. Clint Eastwood (który również jest reżyserem tego obrazu).

Osada poszukiwaczy złota nękana przez bogacza, który górnikom chce odebrać złotonośne działki. Na prośbę modlącej się o pomoc dziewczynki w osadzie pojawia się nikomu nie znany kowboj. Czy jest gościem z zaświatów, czy też wędrującym po Dzikim Zachodzie rewolwerowcem? Szybkie tempo akcji, nieoczekiwane zwroty fabularne. To jest to.

GOOD MORNING VIETNAM (Dzień dobry Wietnamie) — wojenny.

Wyst. Robin Williams. Reż. Bary Lezinson.

„Time Magazine" określił ten film mianem „najlepszej komedii wojskowej od czasu nakręcenia »M.A.S.H.«". Należy w tym miejscu dodać, że jest to bardzo gorzka komedia, w której po raz kolejny Amerykanie próbują rozliczyć się z wietnamskiej przeszłości. Bohaterem filmu jest spiker wojskowej radiostacji rozrywkowej, nie zgadzający się z zakłamaniem przełożonych, którzy próbują wmówić żołnierzom, że ci uczestniczą w największej przygodzie swego życia. Koniecznie trzeba zobaczyć.

VIDEO-KNOTY

SECRET OBSESSIONS (Tajemnicze obsesje) — dramat. Rzeczywiście jest to dramat ludzi, którzy zdecydowali się to coś oglądać.

THE METAL YEARS (Metalowe lata) — muzyczny. I to wszystko, co na temat obrazu można powiedzieć.

KING OF THE MOUNTAINS (Władca gór) — dramat psychologiczny. Dużo dobrych samochodów, dużo wyścigów i proporcjonalnie mniej sensu.

PaS.

WRÓG AMERYKANIZMU?

Po 12 latach pontyfikatu i przeszło 50 podróżach zagranicznych Jan Paweł II otworzył erę „papiestwa uniwersalnego" kosztem „papiestwa rzymskiego", ograniczając jakby Watykan do rangi siedziby administracyjnej.

Papież, uważany przez niektórych za konserwatystę, ożywił w nie znanym wcześniej stopniu „kolegialność" biskupów. Nigdy przedtem nie odbyło się tyle synodów, zgromadzeń kardynałów (konsystorzy), nigdy też nie przybywało tyle delegacji biskupów ze wszystkich części świata.

Wydana 2 maja br. encyklika „Centesimus annus" (z okazji stulecia nowatorskiego tekstu „Rerum novarum" Leona XIII) jest swego rodzaju instruktażem dla społeczeństw postkomunistycznych. Dla papieża fiasko marksizmu nie oznacza bowiem, że rację ma kapitalizm. W swej nowej encyklice Jan Paweł II silnie akcentuje interwencyjną rolę państwa, syndykalizmu i ostro potępia dążenie do zysku za wszelką cenę.

Zarówno ostatnia, jak i poprzednia (z 1988 r.) encyklika papieża wywołały gniew w konserwatywnych kołach biznesu w Stanach Zjednoczonych. W „Sollicitudo rei socialis" zawarto bowiem listę oskarżeń, w której na tej samej płaszczyźnie ustawiono zło płynące z marksistowskiego kolektywizmu oraz liberalnego kapitalizmu.

Papież oskarża również USA o cynizm polityki amerykańskiej na Bliskim Wschodzie, występował także zdecydowanie przeciwko interwencji militarnej w Zatoce Perskiej. Niektórzy sądzą, iż Jan Paweł II może stać się w przyszłości jedną z nielicznych osobistości zdolnych przeciwstawić się amerykańskiemu przywództwu w świecie.

Ten antykomunistyczny papież — twierdzą obserwatorzy — w slamsach Afryki czy Ameryki Łacińskiej staje się orędownikiem Trzeciego Świata i przeciwnikiem dominacji Stanów Zjednoczonych.

(M)

SAMO ŻYCIE

BYŁA KREW, BYŁY TRUPY, NIE BYŁO SZMALU

Dwa zabójstwa wstrząsnęły mieszkańcami Suchedniowa. Niewielkie miasteczko w woj. kieleckim nigdy dotąd nie przeżyło takiego szoku. W odstępie niespełna dziesięciu dni z rąk bandytów zginęli dwaj mężczyźni.

Sprawcy zabójstw zostali wykryci dzięki operacyjnej pracy policjantów.

W pierwszym przypadku, mordercami okazali się: Paweł D., piętnastoletni uczeń szkoły podstawowej oraz dwudziestoośmioletni Mieczysław K. Obaj są mieszkańcami Suchedniowa. Do swej ofiary, mieszkającej w jednorodzinnym domku, przyszli około godz. 20.00.

Starszy pan, Bolesław M., wpuścił gości do przedpokoju. Rozpoznał bowiem Mieczysława, który często przychodził po butelkę wódki. Tym razem wódka była tylko pretekstem. Gdy starszy pan schylił się, by wyjąć butelkę z szafki, obaj klienci zaczęli go bić i kopać. To go jednak nie złamało, mimo wieku był w doskonałej kondycji fizycznej. Choć upadł na kolana, zdołał wstać i zaczął się bronić, jednak sił starczyło mu na 15 minut.

Napastnicy mieli przewagę. Potulbowani przez Bolesława M. z furią rzucili się na niego w momencie, gdy upadł na twarz. Planowo, z niezwykłym bestialstwem, masakrowali butami głowę ofiary. Bili i kopali tak długo, aż przestał dawać oznaki życia. By się utwierdzić, że Bolesław M. nie żyje, wyleli na zmasakrowaną i skrwawioną twarz garnek wrzątku, który kipiał na gazie.

Drugi, podobny przypadek ujawniono w Suchedniowie przy ul. Warszawskiej. Bez najbliższej rodziny, również we własnym domku, mieszkał pan Jan B. Ten samodzielny dach nad głową był jego jedynym majątkiem. Mógł go sprzedać i kupić mieszkanie w bloku, z nadwyżki pieniężnej dokładać sobie do renty. Tak mu doradzano, m. in. z uwagi na osobiste bezpieczeństwo.

— Starych drzew się nie przesadza — odpowiedział Jan B. Wolał się narażać niż zmieniać kąty, do których przywykł od dzieciństwa — kosztowało go to życie.

Po schwytaniu przez funkcjonariuszy Policji morderców Jana B., wyszły na jaw okrutne szczegóły tej zbrodni.

Zabójstwo było z góry ukartowane. Miało przynieść sprawcom, w ich mniemaniu, znaczne korzyści materialne. Okrutnego dzieła dokonała grupa młodych ludzi: dwie kobiety liczące sobie po 18 lat oraz mężczyzna, lat 24. W pierwszej fazie realizacji tego planu uczestniczył drugi mężczyzna, rówieśnik pierwszego, przyjaciel jednej z panienek. Wycofał się sprzed drzwi domu ofiary. Brakło mu odwagi.

Pozostała trójka wyłamała okienko w bocznej ścianie ganku. Pierwszy wszedł do środka Roman D. Otworzył drzwi i wpuścił dziewczyny. Marlena Sz. pełniła rolę szefa bandyckiej grupy. Cechowało ją okrucieństwo.

— Zwiążemy go i zakneblujemy — proponował Roman D. — On śpi, więc pójdzie nam to bardzo łatwo.

— Głupi jesteś, trzeba go zabić — syknęła Marlena Sz.

Mężczyzna zrozumiał, iż nie ma wyboru. Wszedł do kuchni, by się rozejrzeć za jakimś narzędziem. Zauważył długi nóż. Wziął go do ręki i zgodnie z rozkazem Marleny wbił w pierś śpiącego rencisty. Wyciągnął skrwawioną klingę i ponownie zadał cios. Potem kilka następnych.

Rachuby na obłowienie się całkowicie zawiodły. Mordercy wzięli trochę alkoholu i śmieszną kwotę pieniędzy.

— Pierwsza bandycka grupa znalazła się w naszych rękach po upływie dwóch tygodni od daty popełnienia zbrodni, druga — po tygodniu — mówi naczelnik Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KRP w Skarżysku-Kamiennej Tadeusz Kasprzyk. — Głównym mordercą w drugim przypadku był Roman D., brat Pawła D., członka grupy bandyckiej, która dokonała zabójstwa rencisty Bolesława M. W pracy operacyjno-śledczej pomogła nam wydatnie załoga Komisariatu Policji w Suchedniowie, którą kieruje asp. Zbigniew Polak.

Morderców wiodła do mieszkań samotnych rencistów wizja pieniędzy, za które można by pohulać. Koszmarne plany zostały zrealizowane tylko w połowie. Była krew, były trupy, ale nie było szmalu...

EDWARD NOWAK

CZY MODA TA SIĘ PRZYJMIE?

W maju br. nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa Warszawskiego Policyjnego Klubu Sportowego Gwardia. Dotychczasowego prezesa płk. Ryszarda Bębna, dowódcę jednej z jednostek NJW MSW, zastąpił komendant stołeczny Policji podinsp. Michał Kamiński. Nowego sternika stołecznego klubu poprosiłem o krótką rozmowę.

— Przed laty prezesami Gwardii byli komendanci stołecznej milicji. Czyżby w ten sposób starano się nawiązać do tradycji?

— Powiem otwarcie, nie do końca jestem przekonany, czy powinienem podjąć się tej roli. Osoby, które zwróciły się do mnie z tą propozycją wielokrotnie podkreślały, że będę przydatny klubowi właśnie w tak trudnym okresie. Myślę, że przy pomocy członków zarządu uporam się z wieloma problemami współczesnego sportu, pracę rozpoczynamy od przełamania pewnych stereotypów, np. zbyt kurczowo trzymamy się starych zasad organizacyjnych, dalszą działalność chcemy budować na prawach rynkowych, korzystać z doświadczeń klubów zachodnich. W związku z tym podjęliśmy wiele nowych przedsięwzięć.

— Na czym one polegają?

— Zawarliśmy porozumienie w sprawie warunków współpracy KSP i Gwardii oraz zasad korzystania z urządzeń i obiektów KSP. Funkcjonariusze Policji będący trenerami i instruktorami w utworzonym niedawno Ośrodku Szkoleniowo-Sportowym KSP, którego klub jest integralną częścią, będą prowadzić działalność na rzecz klubu w wymiarze do 50 proc. czasu służby. Resztę przeznaczą na prowadzenie zajęć wf z policjantami.

Zaprosiliśmy do ścisłej współpracy przedstawicieli biznesu, władz gminy Mokotów, osoby zainteresowane rozwojem sportu policyjnego.

— Mimo wszystko muszę zapytać, czy Komendę Stołeczną Policji stać na utrzymanie takiego kolosa?

— WPKS Gwardia znajduje się na terenie, a tym samym korzysta z obiektów należących do ośrodka szkoleniowo-sportowego. Na nas też ciąży obowiązek utrzymania i eksploatacji wszystkich urządzeń. Dokonaliśmy ich przeglądu. Okazało się, że część obiektów np. wykorzystywana była niezgodnie z ich przeznaczeniem. Traciliśmy na tym wiele milionów złotych. Umowy najmu, co warte podkreślenia, zostały zawarte przez działaczy klubu z różnymi podmiotami gospodarczymi bez wiedzy i zgody kierownictwa KSP. Wypowiedzieliśmy je.

Zróżnicowany pod względem środowiskowym skład zarządu klubu przemawia za tym, że będziemy działać z większym niż dotąd rozmachem. Poszczególne sekcje zabiegają o sponsorów, osoby wspomagające. Liczymy, że tym, co się dzieje na boiskach, salach sportowych, matach, zainteresuje się w większym niż dotychczas stopniu młodzież Mokotowa, mieszkańcy Warszawy.

— Nie ulega wątpliwości, że Gwardia przeżywa trudny okres, zmieniają się struktury, ludzie. Wielu szkoleniowców wybiera się na emerytury, część straciła etaty policyjne, inni pracę...

— Proces ten był nieunikniony. Dążymy do unowocześnienia struktur klubu, stworzenia podstaw formalnoprawnych działalności. Klub stał się częścią ośrodka, korzysta ze wszystkich obiektów, jakimi dysponuje stołeczna Policja. Z myślą o zdobywaniu środków pieniężnych planujemy utworzenie „Fundacji Fair Play", przygotowaliśmy już odpowiedni zestaw dokumentów, mamy wstępną zgodę kilku biznesmenów. Wierzymy, że w ich ślady pójdą inni.

— Magnesem przyciągającym sponsorów są sukcesy zawodników, z przykrością muszę stwierdzić, że coraz mniej słyszy się o osiągnięciach sportowców Gwardii. Drugoligowa drużyna piłki nożnej plasuje się w dolnych rejonach tabeli, rozsypuje się sekcja zapasów... czy w tej sytuacji znajdą się w klubie ludzie interesu?

— Doskonale zdajemy sobie sprawę z plusów i minusów. Jestem jednak zdania, że w sporcie wyczynowym niczego nie można robić na siłę, stąd też słabi zawodnicy, sekcje muszą przegrać rywalizację z silniejszymi, lepiej zorganizowanymi. Proszę pamiętać, że nasi bokserzy seniorzy nadal liczą się w krajowej czołówce, 16-letni Michał Pontek wywalczył złoto w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży w boksie, a Rżewski i Kaczmarek brązowe krążki. Utalentowany junior Jarek Lewak wygrywając ze wszystkimi rywalami przed czasem sięgnął po tytuł mistrza kraju seniorów w judo. Strzelec Marek Nowak znajduje się w kadrze narodowej...

— To, czy klub nawiąże do dawnej świetności, czas pokaże. Faktem jest, że sporo jest do nadrobienia. Nie lepiej jest z umasowieniem sportu wśród policjantów, a tym ośrodek ma się zajmować. Czy uda się połączyć wyczyn z masówką?

— Zmieniamy gruntownie zasady szkolenia policjantów. Na nas spoczywać będzie obowiązek zapewnienia im odpowiednich warunków do ćwiczeń, utrzymywania kondycji, jednak w jaki sposób funkcjonariusze wykorzystają je, zależeć będzie od nich samych. Okresowe sprawdziany, w czasie których policjanci udowadniać mają przydatność do służby w Policji, wykażą stopień zainteresowania kulturą fizyczną. Wysoka sprawność fizyczna będzie jednym z wymogów przy awansowaniu.

— Przyznam, że odpowiada mi takie stawianie problemu policyjnej masówki. Obawiam się tylko, czy starczy Panu, jako komendantowi stołecznemu Policji, konsekwencji w egzekwowaniu tych postanowień?

— Każdy człowiek, a tym samym policjant, musi być odpowiedzialny za własne samopoczucie fizyczne i psychiczne. Twarda rzeczywistość domaga się choćby elementarnych zabiegów związanych ze sposobem odżywiania, higieną pracy, kulturą wypoczynku itp. Systematyczny udział w zajęciach wf, odpowiedni tryb życia winien być uświadomiony koniecznością. Zależy nam na sprawności świadomej, a nie wymuszonej do statystyk. Prawda ta musi jak najszybciej dotrzeć do wszystkich policjantów, w praktyce oznaczać to będzie, że zapełnią się obiekty sportowe, zażywać będziemy więcej ruchu. Musimy poddać się ogólnoświatowej modzie na sportowy tryb życia.

— Dziękuję za rozmowę.

RAFAŁ ŁUKASZEWSKI
zdj. K. Mokrzyszewski

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Rozwiązanie konkursu w nr. 9/91 „Magazynu Kryminalnego 997": 1. Piotr Kamrowski (Gwardia Katowice), 2. Zjazd założycielski odbył się w Calvii na Majorce (Hiszpania) 3. Gwardia Katowice, Olimpia Poznań, Wisła Zakopane. Nagroda przypadła panu Marianowi Jedliczce z Lublina. Gratulujemy.

A oto kolejne pytania:

1. Ilu stołecznych gwardzistów zdobyło medale podczas ostatnich mistrzostw Polski w boksie? Wymień ich nazwiska.
2. **W którym roku wybudowana została hala Gwardii znajdująca się przy pl. Żelaznej Bramy?**
3. Podaj nazwiska pierwszych trenerów drużyn Gwardii Warszawa piłki nożnej, boksu i judo.

Wśród czytelników, którzy w ciągu 10 dni przyślą rozwiązanie konkursu (z dopiskiem „Kibic doskonały") rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez prezesa WPKS Gwardia Warszawa podinsp. Michała Kamińskiego.

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (redaktor naczelny 45-61-26, 20-54-18 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Krzysztof Kilijanek, JERZY KIRZYŃSKI** (zastępca redaktora naczelnego, 45-61-72, 20-16-39), **Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Leszek J. Sroka, Paweł Szlachetko, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, 45-61-15**

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **J. Bieniek, M. Misiewicz, M. Owczarek, A. Pałafij, A. Popielski, J. W. Wójcik.**

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

Prenumerata na III kwartał wyłącznie z jednostek Policji.

Cena — 15 000 zł

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu w III kwartale kierować pod adresem redakcji, ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa, tel. 45-68-66. Wpłaty należy dokonywać na konto OO NBP Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP (prenumerata)

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 5000 zł, cm² — 7500 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 5 VI 1991

zam. 4618

REDAKTOR DYŻURNY
Maria Pawlak

panorama 997

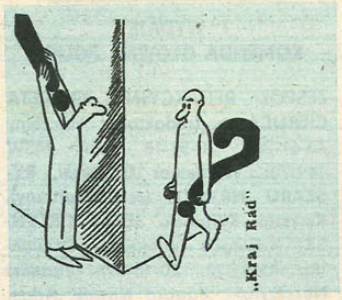

MYŚLI

Im większą ktoś ma wiarę, tym wściekleJ gardzi tymi, co nie wierzą tak samo jak on. A przecież największą wiarą byłaby wiara w ludzi.

Karel Čapek

Każdy władca pragnie stabilizacji, a jednak kryzys nadchodzi niespodziewanie.

chińskie

Kłamstwo jest jak las: im dalej w las, tym trudniej wyjść.

Antoni Czechow

Twój przyjaciel ma przyjaciela, przyjaciel twego przyjaciela ma też przyjaciela; pamiętaj, bądź dyskretny.

żydowskie

Naród polski musi nie tylko dyskutować, ale i rządzić się.

Bolesław Piasecki

KRZYŻÓWKA nr 12

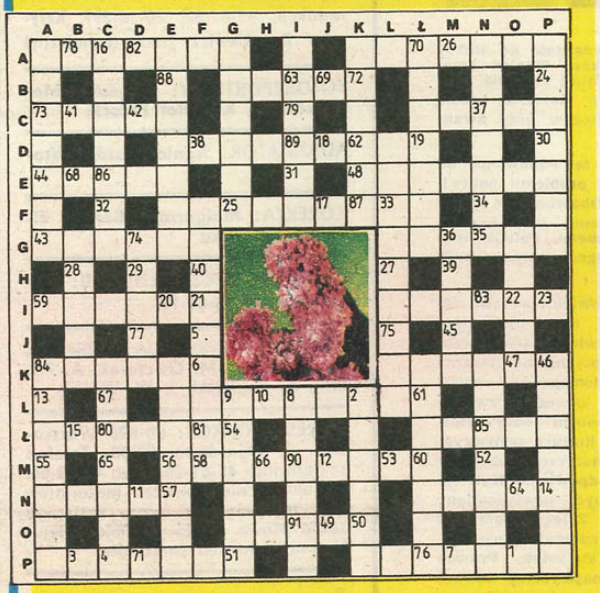

Litery z ponumerowanych pól, napisane w kolejności od 1 do 91, utworzą sentencję Władysława Tatarkiewicza, którą wystarczy nadesłać jako rozwiązanie.

Poziomo:
A) w łóżku ● lak barwny używany w przemyśle włókienniczym. B) zawiadomienie o nadejściu przesyłki. C) glob ziemski ● łopata. D) znawca prawa rzymskiego. E) imię żeńskie, ale nie Irena ● główka na drugim końcu nitu powstała po zgnieceniu nitu. F) akt ostatniej woli. G) mieszanina rud cynkowych kalaminu i smitsonitu ● dojrzała komórka płciowa. I) samica i samiec ● współczucie. K) żywica niektórych drzew tropikalnych ● zakład przemysłowy z trakami. L) konstytucyjna stolica Holandii. Ł) rycynus, kleszczowina ● miano. M) Claudia, aktorka włoska. N) miasto w woj. krośnieńskim ● chaos. O) ulica wysadzana drzewami. P) figura geometryczna ● gadanina, paplanie.

Pionowo:
A) bywa często przyczyną kraksy ● majątek, mienie. B) dychawica. C) miasto w woj. leszczyńskim ● nóż do wycinania trzciny cukrowej. D) wzór, sposób. E) zysk, korzyść ● właściciel gospodarstwa hodowlanego w Ameryce. F) zawieranie małżeństw wewnątrz danej grupy społecznej. G) niebieski barwnik stosowany w laboratoriach jako wskaźnik ● gnom, karzeł. I) wśród owoców ● złośliwy przydomek. K) miasto w woj. olsztyńskim ● wystawiany na scenie. L) tancerka argentyńska z operetki Abrahama „Bal w Savoyu". Ł) statki wiosłowe starożytnej Grecji ● chorobliwy zanik pamięci. M) silnik. N) część pleców po obu stronach kręgosłupa ● narzędzie ślusarskie. O) przerywana na mecie przez biegacza. P) wysokie siodło z szerokimi łękami ● zespół czterech muzyków.

SYLWESTER LIPIŃSKI

Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda w wysokości 50 tysięcy złotych. Na kartce pocztowej lub kopercie prosimy dopisać: „Krzyżówka nr 12".

Rozwiązanie z nr. 8
Isadora, diorama, miranda, maniera, Melania, Klimena, Menelik, Klement.
Nagrodę wylosował
Marian Jedliczko — Lublin.

Rozwiązanie z nr. 9
Powstanie warszawskie.
Nagrodę wylosowała
Daniela Niemczyk — Warszawa.

ZAPAMIĘTAJ:

Oceniając ludzkie postępki należy uwzględnić to, co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wyjaśnienie nie bywa ostateczne.

Joseph Conrad

PRZESTĘPCZOŚĆ W USA

Według ogłoszonych przez FBI wstępnych danych dotyczących przestępczości w USA w 1990 roku, liczba przestępstw popełnionych przy użyciu przemocy wzrosła o 10 proc. (do ok. 1810 tys.), w tym morderstw o 10 proc. (do 23 600), gwałtów o 9 proc. (do 103 tys.), rabunków o 11 proc. (do 642 tys.) oraz napadów z pobiciem o 10 proc. (do 1050 tys.). Liczba włamań spadła o 4 proc. (do 3040 tys.), kradzieży samochodów zaś wzrosła o 5 proc. (do 1620 tys.). Największy wzrost przestępstw przy użyciu przemocy zanotowano w dużych miastach. Najwięcej morderstw w 1990 roku zanotowano w Nowym Jorku — 2245 (1905 w roku 1989), a następnie w Los Angeles — 983 (877) oraz w Chicago 850 (742).

B.

CORAZ NIEBEZPIECZNIEJ

W 1990 r. w Republice Południowej Afryki zamordowano 12 779 osób, nie wliczając w to ofiar w „niepodległych" bantustanach, gdzie żyje ponad jedna czwarta ludności. Wzrasta również przestępczość kryminalna czarnych przeciwko białym. Policja zaleca zapinanie pasów bezpieczeństwa w samochodach nie tylko, by zapobiec wyrzuceniu z wozu w razie wypadku, lecz... by zapobiec wyrzuceniu z samochodu przez przestępców.

Przeciętnie codziennie ginie 35 osób. Mnożą się napady rabunkowe. Spowodowało to gwałtowny rozwój urządzeń zabezpieczających. Firmy zapewniające uzbrojoną ochronę stały się faktycznie prywatną siłą policyjną, gdyż policja państwowa działa zbyt wolno lub też jest przeciążona. Jeśli w domu jest zainstalowany alarm, prywatne firmy zapowiadają gwarancje przybycia ich uzbrojonych ludzi w ciągu 3 minut.

(M)

FRASZKI

PRZESILENIE

Od głoszenia władzy chwały
wielkie dzwony popękały.

PRZED SĄDEM

Milczenie wcale nie bywa złotem,
gdy za nie trzeba odsiedzieć potem.

UZALEŻNIENIE

Od siły przebicia
zależy styl życia.

Jan Górczyński

DNI BEZ MANDATÓW KARNYCH

W dniach od 22 do 24 kwietnia br. odbył się protest francuskich policjantów z prowincji, zrzeszonych w Krajowym Związku Umundurowanych Policjantów (SNPT). Ponieważ nie wolno im strajkować, postanowili w ciągu trzech dni nie sporządzać mandatów karnych za naruszenie przez kierowców przepisów o parkowaniu samochodów. Zamiast mandatów wręczyli kierowcom ulotki tej treści: „Dopuścił się Pan (Pani) wykroczenia, ale w dzisiejszym dniu mandat karny nie został sporządzony. Dlaczego? Dlatego, że jestem policjantem niezadowolonym".

Niezadowolenie francuskich stróżów porządku z prowincji (około 80 tys. umundurowanych policjantów), wyraża się w tym, że zapowiadana od kilku lat reforma w korpusie policyjnym odwlekła się. Ponadto w ostatnim okresie paryskim policjantom przyznano „premię trudności" w kwocie 6000 franków rocznie, która niestety nie przysługuje policjantom z prowincji, a także i z innych wielkich miast, gdzie warunki pracy i życia są ciężkie.

(om)